Cena egz. 30 kop.

№ 2. KIJÓW, 30 MARCA 1914 ROKU. № 2.

KŁOSY UKRAIŃSKIE

Z DODATKIEM „ROLNIK UKRAIŃSKI“.

KANTORY I AGENCJE

KIJÓW — HUMAŃ — BIAŁA CERKIEW — BERDYCZÓW — KAMIENIEC — WINNICA — PŁOSKIRÓW — ŻYTOMIERZ — RÓWNE — ŁUCK.
WILNO — MIŃSK LITEWSKI — ODESA — EKATERYNOSŁAW — CHARKÓW.
WARSZAWA — KRAKÓW — ŁWÓW — POZNAŃ.



Akademik Wład. Galimski. WIOSNA NA UKRAINIE. *Druk trójbarwny S. W. Kulżenko*

Kłosy Ukraińskie

Dwutygodnik pod kierownictwem literackiem J. Ursyna.

ROK I. Kijów, dnia 30 marca (12 kwietnia) 1914 roku. № 2.



Główka.

Rysunek oryginalny *Czesława Borysa Jankowskiego* z Paryża.

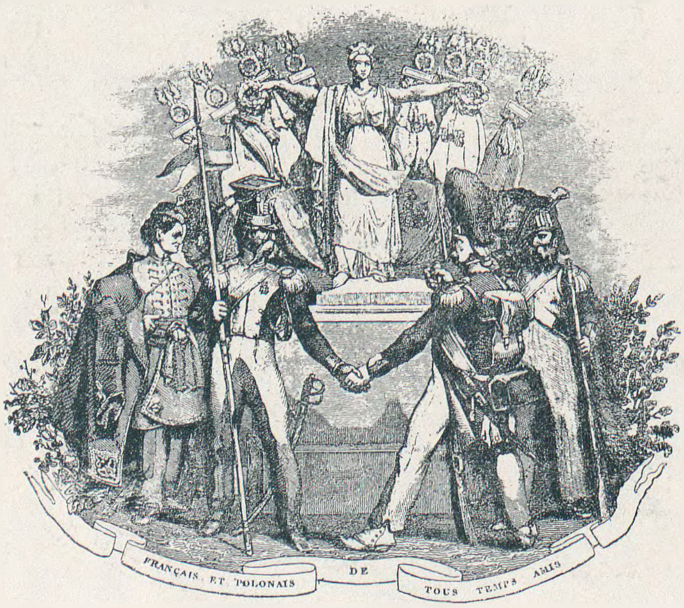
Klisza wyk. w zakł. „Grafik“ W. Krasnosielskiego w Kijowie.

OFIARY KRWIE.

Za dni kilka minie ostatnia ze stuletnich rocznic wielkiej epoki napoleońskiej, za dni kilka pasmo wspomnień, z któremi związana była dola i niedola Polski porozbiorowej, przerwie swój wątek. Raz jeszcze ukaże nam się, śród dymów bitewnych, bohaterska, czysta postać generała Paca, Krakusi pod Dwernickim przypuszczą jedną ze swych zawadjackich szarży, ponad celownikiem armatnim błyśnie zimne, stalowe spojrzenie generała Sokolnickiego, i oto karta epopei, karta dziejów odwrócona. Będą jeszcze desperaci czy zapaleńcy, którzy pójdą za Napoleonem i na Elbę, którzy mu torować będą drogę do stu dni, którzy i pod Waterloo dotrzymają mu szabli i lancy, lecz to będą już niedobitki, jeno dziesiątki, własnego sentymentu dla cesarza-czarownika, wolontarze.

W dniu 30 marca kończy się stulecie braterstwa broni francusko-polskiego; w dniu 30-ym marca, roku bieżącego, głaz wieku przytłoczy całego narodu szlachetne uniesienia.

I oto rwie się do serc naszych gorycz i oto myśl zdradliwa podpowiada nam sarkazmu przesłanki. I cóż ta epoka, i cóż te boje, poświęcenia, ofiary krwawe, gdy oto nawet stulecie nie zbliżyło ku nam tego, co wiarusi z pod Saragossy, Wagramu, Raszyna widzieli już tak bliskiem, tak ziszczonem, że, konając na polach bitewnych, błogosławili okrutnemu losowi!... Cóż nam z tych szewronów męstwa, cóż z kurhanów, cóż z tego bogdaj braterstwa, gdy i ono stało się martwą literą pożółkłych pergaminów!?



Polsko-francuskie braterstwo broni.
(1814 — 1914).
(Ze starego sztychu).

To jest myśl zdradliwa, myśl niedalekiego lotu.

Myśl bowiem, znająca dzieje własnego narodu, epokę napoleońską ma za epokę odkupienia, za pierwszą ofiarę krwie, której pragnęła ziemia ojczysta, za pierwszy znak odrodzenia się, ocknienia. W morzu krwi ofiarnej hartowały się duchy, czyściły imiona, plejada gwiazd swe pierwsze czerpała skry.

Z tej epoki narodziła się wielka poezja, bo epoka ta dała jej berło tragedji, skrzydła orląt-rycerzy i męczeńską koronę. Gdyby tej epoki, tego zapamiętania, tego szaleństwa, tego wojskowego romantyzmu nie było, gdyby jedynym wyobrazicielem czynu był Kościuszko, jego nieliczne dywizje, gdyby żołnierze Kościuszki nie byli głównym ośrodkiem legjonów, gdyby te legjony nie wydały pokolenia żołnierzy, nie przeniknęły historji naszej, byli byśmy jeno parjasami, jeno piętno hańby dźwigającymi niewolnikami. Życie byłoby nasze martwem, a pierś wyschłą.

Nie łudźmy się możnością braterstwa broni francusko-polskiego, ale i go się nie sromajmy, bo ono lepszą nam zachowało cząstkę. Wielbmy pamięć tych uczciwych i wiernych do ostatka, bo byli oni nie kastą, nie klasą, lecz narodem. Pamiętajmy, że ofiarę krwie i ofiarę życia niosły społem wszystkie warstwy, że książęta i magnaci, kmiecie i szlachta, rzemieślnicy i kupcy, mieszczanie, i wyrobnicy stawali w jednym szeregu, od jednego padali kartacza, jednej służyli ziemi.

Paryż, 25 marca, 1914. WACŁAW GĄSIOROWSKI.

O „Wojnie Szweckiej".

Ludwik Kubala. Wojna Szwecka w roku 1655 i 1656. (Szkiców historycznych serja IV z 19 rycinami). Lwów 1914 r.

Między historykami należy Kubala do pierwszorzędnych talentów pisarskich. Ma on w wysokim stopniu dar wskrzeszania. Umie budzić wieki, które oddawna zasnęły, umie tchnąć życie w to, co zmarło, i pod tym względem, od czasów Szajnochy, mało kto może iść z nim o lepszą. Świeżym tego dowodem jest najnowsze jego dzieło pod tytułem: „Wojna Szwecka 1655 — 1656". Jest to przedewszystkiem świetna galerja portretów. Ale z woli autora, królowie, kanclerze, biskupi i wojownicy opuszczają zczerniałe ramy i stają przed naszemi oczyma, biorąc jak żywi udział w wielkiej tragedji, która dwieście sześćdziesiąt lat temu rozegrała się na naszych ziemiach. A tragedja dziejowa nigdy przedtem, nawet w czasie wojen krzyżackich, nie groziła Państwu Polskiemu większą katastrofą. Chmielniczczyzna na współkę z Ta-



Zuzanna w kąpieli.
Obraz ze zbiorów pana M. Sławińskiego w Kijowie, szkoły flamandzkiej, uznany za dzieło Rubensa (1577—1640).

tarami wytoczyła zaledwie przed kilku laty z narodu morze krwi; na wschodzie rozgorzała wojna moskiewska, a w ostatku, po całym szeregu klęsk, strat i spustoszeń, na wycieńczony kraj, na skłócony z królem i rozrywany przez fakcje magnackie naród, zwaliła się od zachodniej rubieży burza szwedzka. Gdy nadomiar z nowym najezdnikiem połączył się przeniewierczy lennik, zdawało się, że to koniec. Tak myśleli magnaci, którzy przeszli na stronę Karola Gustawa, tak myślała szlachta i wojsko, które znalazło się w obozie szwedzkim.

Ale Karol Gustaw, zdobywszy rękoma Polaków Polskę, nie zrozumiał, że tylko rękoma Polaków może ją utrzymać. Potęga szwedzka była poniekąd podobna do meteoru, który rozbłyska na chwilę jaskrawo, a potem gaśnie. Była ona do pewnego stopnia złudą — Batory, który miał poczucie siły polskiej, nazywał władców Szwecji „królikami". Rzeczpospolita, słaba jako państwo, była przynajmniej w trójnasób zasobniejsza i ludniejsza od całej Skandynawji i gdyby Polacy nie kochali więcej wolności, niż ojczyzny, Polska stawałaby się głównym arbitrem na północy i wschodzie Europy. Drzemały w niej utajone siły, których nie należało najezdcom budzić. To też, gdy nowy władca jął deptać wiarę i uczucia wielkiego narodu, naród ów dźwignął się z upadku i od tej chwili godziny panowania szwedzkiego były policzone.

W plastycznem, pełnem ciepłych a mocnych barw opowiadaniu Kubali, rozwija się przed oczyma czytelnika ów łańcuch olbrzymich zdarzeń. Pierwsze rozdziały obejmują znakomicie skreślony portret Karola Gustawa i płonne wobec z góry postanowionej wojny rokowania dyplomatyczne. W dalszych następuje wybuch wojny i jej niesłychany przebieg, więc kapitulacja pod Ujściem i w Kiejdanach, zajęcie Warszawy, ustąpienie Jana Kazimierza do Ślązka, kapitulacja Krakowa, przejście do Szweda wojsk, szlachty i ogólny upadek. Najezdnik poczyna patrzeć od tej chwili na Polskę, jak na łup wojenny, łamie obietnice, depce przysięgi i nie waha się podnieść świętokradzkiej ręki na największą świętość narodową, na Częstochowę.

I tu następuje przełom. Wojna, która zdawała się być skończoną, wybucha nanowo. Powstaje Wielkopolska, Mazowsze, Małopolska, Litwa i Ruś. Zaczyna się to powstanie, jakby jakiś straszny „kulig", w którym, zgodnie ze słowami manifestu Jana Kazimierza, jeden szlachcic łączy się z dwoma, ci trzej z trzema innymi, tych sześciu z takąż, albo większą gromadą. W ten sposób tworzą się hufce zbrojne i pożar ogarnia całą Rzeczpospolitą. Potem chwyta za cepy i kosy lud wiejski, a powszechnemu wybuchowi przychodzi w pomoc groźny Czarniecki. Król wraca ze Ślązka, wojsko porzuca obozy szwedzkie i rozpala się wojna na śmierć i życie, która po ślubach Jana Kazimierza staje się zarazem narodową i religijną. Zwycięstwa i klęski przeplatają się nawzajem, gdyż „z Karolem Gustawem bitwę przegrać ła-

two"... Ale jego wyprawa na Ruś kończy się odwrotem, a z obłogu w widłach Sanu i Wisły ratuje go tylko odejście Czarnieckiego pod Warkę. Spieszy wówczas Carolus do Prus, by ostatecznie przeciągnąć na swą stronę chytrego Kurfirsta, a tymczasem zastępy polskie zwalają się na kształt chmur pod Warszawę i biorą ją szturmem. Stolica wydarta, więc znowu zda się, że wojna skończona.



Droga. Fot. z natury J. Bułhak.

Ale na tem kończy się tylko dzieło Kubali, — wojna — nie. Nie wielu autorów bada tak sumiennie i dokładnie źródła, których ogrom wymaga długich lat pracy, mało opowiadań historycznych drga taką prawdą i takiem życiem, przeto i książkę czyta się nie tylko z pożytkiem naukowym, ale i z rozkoszą artystyczną. A jednak, trzeba powiedzieć, że zakończenie jej napełnia czytelnika zdziwieniem. Dlaczego autor urwał na pierwszem odebraniu Warszawy i kapitulacji Piotrkowa?.. Na to pytanie, które sobie każdy niewątpliwie zada, — niema odpowiedzi. Możnaby przypuścić, że to jest tylko tom pierwszy, ale książka tego nie zaznacza. Zapewne, wolno jest historykowi napisać monografję tylko jednego roku wojny, jednego nawet miesiąca, ale naprzód, Kubala wybiera się w tę podróż historyczną z takimi zasobami, jakby miał zamiar odbyć ją całą, a powtóre, łatwo zrozumieć, że widz, któremu pokazano z tragedji o czterech aktach tylko dwa pierwsze, a na pozostałe zapuszczono zasłonę, czuje pewien zawód Wogóle ma się takie wrażenie, jakby dzieło Kubali zostało przerwane z powodu nieprzewidzianej przeszkody. Wynikają z tego braki i inne, które czynią książkę tem bardziej niezupełną. Oto czytelnik historycznego dzieła szuka w niem zawsze pewnej syntezy, szuka ogólnego poglądu na epokę, na ludzi, na wypadki—i pewnej historjozoficznej nauki, pewnych wskazań i wniosków wyciągniętych z wiru zdarzeń. Tymczasem nic z tego. Opowiadanie jest często objektywnem przedstawieniem rzeczy i płynie tak, jakby je spisał bardzo ścisły i bardzo utalentowany kronikarz. Na krytyczny pogląd, zda się, zbrakło czasu. Tylko przy kreśleniu portretów rzuci niekiedy autor kilka uwag. Są one na ogół trafne i doskonale charakteryzują takie kapitalne postacie, jak Karol Gustaw, Jan Kazimierz, Kurfirst, Witemberg, Oxenstierna, Leszczyńscy, Opaliński i t. d. lecz wypowiadane bywają czasem z rozmachem i fantazją godną pana Paska. Bo gdy autor odsyła „do lasu" pewnych polityków, można się jeszcze na to zgodzić, ale gdy przy charakterystyce Bogusława Leszczyńskiego czytamy, n. p.: „djabli wiedzą skąd się taki wziął w Polsce", wówczas ogarnia nas wątpliwość, czy takie wyrażenie licuje z powagą historji.



Letni poranek. Fot. z natury J. Bułhak.

A potem, jeszcze jedna uwaga. Kubala włącza ustawicznie ustępy

Z «SALONU» KIJOWSKIEGO.



Wojciech Kossak. **„Pod Piramidami“.** Fot. A. Matjas.

z współczesnych, listów a nawet djalogi. Naszem zdaniem, wolno tak czynić tylko wówczas, gdy chodzi o osoby główne, a w książce niezawsze tak jest. — Niewątpliwie, obfite cytowanie listów i djalogów ułatwia czytanie i dodaje życia opowiadaniu, ale natomiast zbliża je nadto do historycznej gawędy i pstrzy zbytecznie jego tok. Historja jest nie tylko nauką, lecz i sztuką. Gmachy przez nią wznoszone mają

Z «SALONU» KIJOWSKIEGO.



Wł. Galimski. **Przed burzą.** Fot. A. Matjas.

pewien właściwy sobie styl, baczyć zatem należy na architektonikę dzieła i unikać wszystkiego, co przeciąża i psuje czystość i dostojeństwo linii.

Lecz to są zastrzeżenia mniejszej wagi. Wogóle można powiedzieć, że nauka polska zyskała w książce Kubali dzieło ozdobne, ciekawe i świetne. Złożyły się na nie i głęboka wiedza i przedziwny talent, wskutek czego będzie ono żyło i błyszczało nie tylko w ścisłej nauce, ale i w literaturze.

Kończymy też życzeniem, by autorowi, blizkiemu już wieczornych dni życia, danem i dozwolonem było obdarzyć wkrótce powszechność polską taką następną pracą, któraby była uzupełnieniem i koroną napisanej obecnie przez niego „Wojny Szweckiej“.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Z upoważnienia Autora, przedrukowane z miesięcznika p. t. „Książka“.

Mów mi o Niej.

Mów mi o Niej, kiedy serca
Pożądaniem gorą cudu,
Że w zaklęty dzwon Jej wwierca
Serce ludu Król-Duch ludu...

Mów mi o Niej u ołtarzy,
Gdzie się słowo staje ciałem,
Że nad gniazdem swem się waży,
Jako orlę skrzydłem białem –

Że w noc burzy, w zamęt wojny
Niebosiężne piórka roni –
O niezłomnej, o dostojnej
Mów mi o Niej...

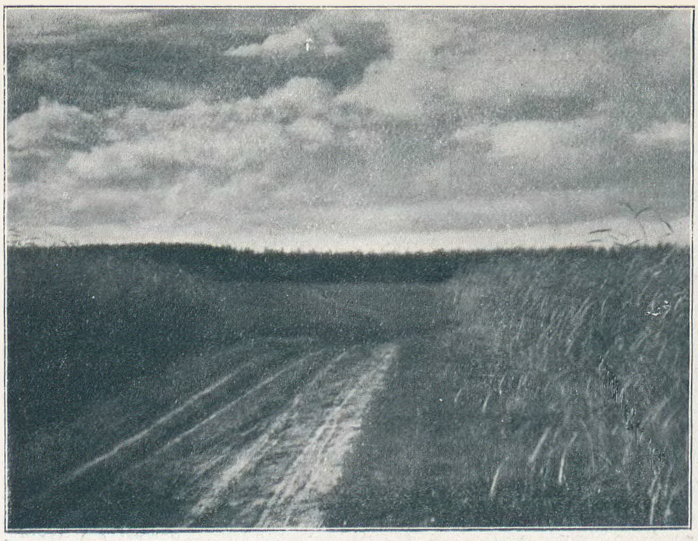
Mów mi o Niej, kiedy wiosną,
Sny w liljowej błądzą bieli,
Że ujrzymy Ją miłośną,
„My, co nigdy nie widzieli“...

JÓZEF KUCZYŃSKI.

Z «SALONU» KIJOWSKIEGO.



Wł. Galimski. **O zachodzie słońca.** Fot. A Matjas.



Wśród zboża. Fot. z natury J. Bułhak



Zmierzch. Fot. z natury J. Bułhak.

O WIELKIM PISARZU.

I.

Nazwano go „wychowawcą dwu pokoleń“ — i nazwano słusznie. A że pokolenie obecne, w sto lat po przyjściu na świat Józ. Ign. Kraszewskiego, już się w jego olbrzymiem dziele dokładnie rozeznać nie może, że się już nawet słyszeć czasem o nim dają głosy, jak gdyby lekceważenia, — to przyczyną są nietylko niezwykłe tego dzieła rozmiary, lecz przedewszystkiem — pomimo mnogości rozpraw i częściowych studjów krytycznych — brak ogólnego, a przedmiotowego na nie poglądu, brak syntetycznej pracy, któraby wszystkie kierunki literackiej działalności Kraszewskiego w pewną, poglądową ujęła całość.

I nie łatwo zapewne znajdzie się taki badacz, któryby się podjął olbrzymiego trudu dania pełnego obrazu i oceny tej zdumiewającej działalności. Stanie bo przed nim historyk i powieściopisarz, poeta i dramaturg, krytyk, dziennikarz i wydawca, a każdy z nich przyniesie mnogie owoce swej pracy. Historyk wskaże na olbrzymią ilość przestudjowanego materjału w trzytomowem dziele „Polska w trzech rozbiorach“, na cały szereg powieści historycznych z zamierzchłej przeszłości i z czasów późniejszych, zwłaszcza saskich, w których tak przedziwnie łączy się dar inwencji z rzeczywistością, dokumentami źródłowymi, podaniami, tradycją. Poeta — twórca „Anafielas“ — zadziwi badacza spokojem epickim, a wnet olśni błyskiem wysokiego natchnienia, jak w owych, naprzykład, pieśniach ślepego guślarza ze „Starej Baśni“, Słowana, któremu oczy wybrano w młodości, aby „dusza w drugi świat patrzyła“. Dramaturg, autor „Halszki“, „Tęczyńskich“ i mnogich kontuszowych „anegdot“ scenicznych, jakkolwiek nie odznacza się temperamentem teatralnym, a lubi obracać się w atmosferze spokoju i pierwiastków przeważnie dodatnich, uderza nieraz wiernem pochwyceniem ducha czasu, kolorytu epoki, plastycznem przedstawieniem postaci, zwłaszcza w owych „anegdotach“.

A publicysta? dziennikarz? Wrażliwy i drażliwy, w działalności swej rozpierzchły i niejednolity, celuje jednak bystrością oka, zręcznem pochwyceniem i ujęciem faktów, siłą dowodzenia, a ujmuje myślą, zwróconą zawsze ku przyszłości...

Trudno, zaiste trudno, ogarnąć całość tej ruchliwej, a na każdem polu niepospolitej działalności, wykazać spajające ją uczucia i myśli przewodnie, sięgnąć do źródła tej niewyczerpanej twórczości...

Mozolne nad wyraz studjum dla badacza, ale też niezmiernie ważne i ciekawe, już z tego przedewszystkiem względu, że organizacja umysłowa Kraszewskiego jest sama przez się zdumiewającym fenomenem, a powtóre z tego powodu, iż żadne inne, skończone już i zamknięte w sobie dzieło pisarza, nie jest w tak wysokim stopniu, jak dzieło Kraszewskiego, obrazem, czy odbiciem zmiennych prądów, walk i aspiracji społeczeństwa. Nietylko jako publicysta, nietylko jako autor „Rachunków“ i niezliczonych, po wszystkich pismach polskich rozsypanych korespondencji, lecz nawet w swych powieściach współczesnych, był Kraszewski dokładnym, choć nie zawsze dość przedmiotowym, historjografem chwili, współczesnego pokolenia, dobitnym wyrazem współczesnej duszy narodu. To też puścizna jego literacka nie tylko pod względem ilości jest zdumiewająca, nietylko dlatego bogata, że obejmuje



Przed kościołem w Kijowie. Fot. W. Męczyński.

wszystkie kierunki literackiej działalności. Jest to przytem nieprzebrane jakby archiwum dokumentów życiowych, a obok tego — skarbnica złotych myśli i uczuć obywatelskich.

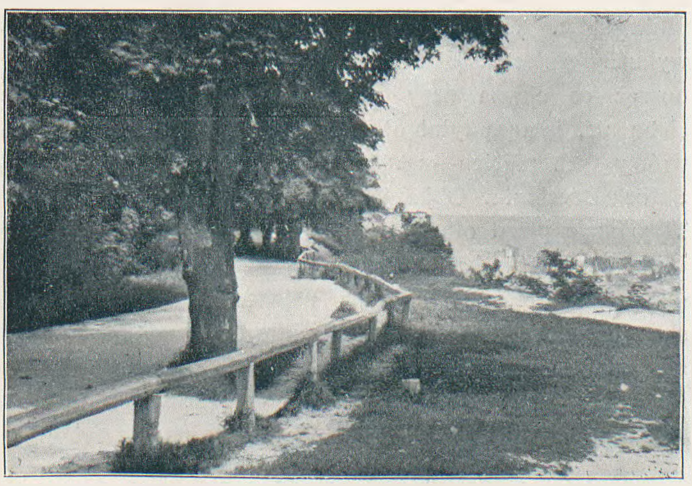
Byli niewątpliwie w narodzie naszym genjalniejsi od niego, byli potężniejsi talentem, natchnieniem, nawet może sztuką pisarską, — popularniejszego pisarza przed nim nie było. Siła produkcyjna niezmierna, obok znakomitego talentu, łatwość tworzenia, obok bogatej fantazji, wykształcenie niemal wszechstronne, umysł bystry, serce wrażliwe, w którem odbijały się żywym oddźwiękiem prądy, dążności i pragnienia, poruszające społeczeństwo całe — oto zalety, które dały Kraszewskiemu to wyjątkowe stanowisko i w literaturze i w narodzie. Książki jego, czytywane w pałacach i dworach pańskich, rugowały stamtąd obczyznę i cudzoziemską literaturę; czytywane również w małych dworkach szlacheckich budziły tam cały świat myśli i uczuć przedtem nieznanych, tworzyły powoli i stworzyły wielki ogół czytających w tej sferze, która dotychczas prócz kalendarzy i senników nie znała innego duchowego pokarmu. I oto pierwsza, niepożyta Kraszewskiego zasługa.

Wyłącznej wszakże idei, tego, co zowiemy tendencją jednolitą, w literackiej jego działalności dopatrzeć się trudno. Jak umysł był wszechstronnym, tak—wrażliwem serce na wszystko, co poruszało ogół. Zdania wypowiedziane w dziełach Kraszewskiego ścierają się nieraz z sobą i kłócą. Tylko uczucie zawsze jest jedno: pragnienie dobra dla swego narodu, głębokie współczucie z tem wszystkiem, co go dotykało, uwielbienie dla ideałów przeszłości. To też kierownikiem opinji Kraszewski być nie mógł, sam owszem dawał się unosić prądom, bo w jego wrażliwej duszy odbijało się, jak na zwierciadle, każde tchnienie narodu. Między pisarzem a społeczeństwem przeciągnięta była jakby nić magnetyczna, która dawała wnet odczuć jego sercu wszystkie drgnienia, wszystkie żale, skargi, nadzieje narodu. W tem źródło niejednolitości i wad literackiego dzieła, ale też w tem tkwi może tajemnica bezprzykładnej przed tem popularności pisarza, w tem szukać należy powodu, że każde jego słowo w lot było chwytane, a jeśli nigdy nie spadało gromem, nie olśniło błyskawicą, to było zawsze witane, jak słowo serdecznego przyjaciela, a nieraz stawało się kojącym balsamem.

Z «SALONU» KIJOWSKIEGO.



Wł. Galimski. Las. Fot. A. Matjas.



Cesarski ogród w Kijowie. Fot. z natury W. Męczyński.

I oto znów wielka Kraszewskiego zasługa, którą zwłaszcza w obecnych czasach podnieść należy: Nie był on nigdy prorokiem zwątpienia, nie siał goryczy, nie waśnił. W jego dziele literackiem jest często wielka boleść, są łzy serdeczne, niezmierna tęsknota, — pesymizmu niema. Natomiast zawsze promyk nadziei, słowo otuchy, pokrzepienia i wiary.

Tak, wiary! Bo jeśli w tym względzie przyjmował on chwilowo i dawał wyraz zmiennym prądom opinji, to zawsze gruntem jego przekonań była głęboka religijność i wiara. To strzegło go zawsze od schlebiania złym instynktom i od poddania się obcym naszemu społeczeństwu wpływom. Z niezwykłą nawet energją podnosił on głos przeciw prądom zniechęcenia i rozpaczy.

„Wierzmy! — wołał on w promiennej chwili krakowskiego jubileuszu — wierzmy we wszystko, co wielkie, święte, dobre, piękne, co podnosi człowieka, a nie skarla go i zezwierzęca!“

Tej wierze w dobroć i piękno pozostał Kraszewski wiernym do końca. Pióro, którego nie wypuścił z ręki do ostatniej chwili życia, nie znało ani goryczy pesymizmu, ani jadu niewiary. Z pióra tego spływały ku narodowi wyrazy otuchy i miłości tradycji dawnych, którą serce pisarza było nawskroś przejęte.

W przeszłości widział on wielkie klęski i dla klęsk tych przebaczał błędy; w teraźniejszej chwili widział szlachetne dążenia, uznawał trudności i wobec nich miarkował sąd o brakach. Nie należąc wyraźnie do żadnego stronnictwa czy koterji, dla wszystkich stanów miał szczerą miłość w sercu.

DCN. ADAM KRECHOWIECKI.

Kilka słów o futuryzmie.

„Wielka duma napełnia naszą pierś—stoimy sami, jak wysunięte naprzód placówki, oko w oko przeciw olbrzymiej armji nieprzyjacielskiej“,—czytamy w pierwszym manifeście futurzystów, drukowanym w „Figaro“ d. 12 lutego 1909 roku. — „Dajmy się pożreć Nieznanemu, nie z rozpaczy, ale by wzbogacić nieprzeniknione, bezbrzeżne przestrzenie Absurdu“.

„Chcemy śpiewać ukochanie niebezpieczeństwa, energji, odwagi, czelności i buntu. Przybyła nowa wspaniałość, nowe bogactwo świata—szybkość. Automobil w pełnym biegu imponuje nam więcej, niż zwycięztwo z pod Samothrace.

„Nie patrzmy poza siebie, czas i przestrzeń umarły wczoraj—żyjemy już w absolucie, ponieważ stworzyliśmy szybkość“.

„Każde nowe pokolenie, przechodząc przez życie, w rozkwicie swych sił, ujmuje młot w rękę, by burzyć to co jest, robiąc miejsce dla swoich bogów. Tyle jest twórczych sił i taka ich rozrzutność, że dawne ramy życia są już za ciasne. Rozsądek i znane nam wartości rzeczy idą precz, wyciągają się ręce w dal; wre walka zażarta między tymi, co odchodzą i zbudowali już coś, a tą masą całą sił młodych, chcących burzyć to, co jest, i tworzyć nowe prawdy“...



Severini: — Danzatrice.

Ruch futurystyczny jest więc zmaganiem się „młodych sił“ na polu literatury i sztuki. Ruch ten z Francji przeszedł już do Włoch i w tej krainie klasycznego piękna zaczyna coraz głośniej mówić o sobie.

Głównym filarem i twórcą ruchu futurystycznego we Włoszech jest Marinetti, który pisze poezje. Do grona jego należą malarze, rzeźbiarze, poeci i muzycy. Celem ich jest, jak mówią, oswobodzenie Włoch od gangreny, jaka ją pożera. Tą „gangreną“ mają być profesorowie, archeolodzy, antykwarjusze i cała przeszłość, zawarta w muzeach, która swoją wielkością przytłacza dusze i nie da odetchnąć swobodniej.

Tej zimy futurzyści urządzili wystawę obrazów i dwa odczyty we Florencji. Wystawa trwała dwa miesiące i cieszyła się wielkiem powodzeniem, jako coś nowego. Rzeczywiście, płótna te to coś tak bardzo nowego i tak bardzo dziwacznego!

„Portret młodej damy w kapeluszu“... Futurzyści wyobrażają ruch, a raczej cały szereg wrażeń tego ruchu, zachowanych w oczach. Dama pochyliła głowę... Więc na portrecie cały szereg oczu, nosów, stopniowo idących w dół obrazu; usta utrwalone w dwu momentach ruchu: w pierwszym i ostatnim — drugie usta gdzieś na połowie stanika; tors stał spokojnie, więc jest jeden. Dama trzyma pieska, który ruszał głową — i znów cały szereg profili psiej głowy...

„Baletnica w tańcu“... Kolejno utrwalone na płótnie momenty tańca: szereg profili, szereg rąk rytmicznie idących jedna za drugą i mających wyobrażać jedną rękę w ruchu...

Na innem płótnie szereg spirali; tam znów szereg ostrych kątów. W farbach kombinacja barw czarnych i żółtych. Dalej — płótno zamalowane czerwono i fjoletowo, a na tem tle ostrokąty. Tytuł obrazu: „Automobil w ruchu...“

„Wagon 3-ciej klasy w nocy...“ Tło czarno-niebieskie: u góry z dwu stron majaczą szeregi bladych profili — to dwaj śpiący pasażerowie, kołysani ruchem wagonu; a w środku obrazu szereg żółtych i czerwonych świetlnych kątów, — to wrażenie mijanych przydrożnych latarni. To ostatnie płótno jest jednem z najciekawszych, gdyż daje istotnie coś z wrażenia kołysania się pociągu i mijania latarń...



Carra: — Anarchja.

Publiczność elegancka i wytworna przepełnia kilka niewielkich sal... Modnem jest dzisiaj być na wystawie futurzystów. Na sali panuje ogromna wesołość, słychać wybuchy śmiechu; jakiś pan pilnie studjuje katalog, podnosząc co chwila oczy na obraz i chcąc odnaleźć choć słabą nić, łączącą tytuł obrazu z jego treścią... Artyści — twórcy tych płócien—są wszyscy na sali. Oto: Carra, Balla, Soffici, Boccioni... Objaśniają, tłómaczą, zawiązują dysputy... Tłum staje przed olbrzymiem płótnem, nakleksowanem barwami lila, niebieską i różową. W katalogu tytuł: „Donna e suoi odori“... Ten obraz najwięcej ma powodzenia; słyszeć się dają różnego rodzaju dowcipy; artyści proszeni są o pokazanie, gdzie jest głowa, nos i oko owej donny... Po chwili uspakajają się: — wszyscy rozróżniają już głowę, nos i oko...

MARJA SŁAWIŃSKA.

Florencja.

DCN.



WINKELRIED.

ALPY—O, JAKŻE DUMNE MUSZĄ BYC TE GÓRY!
KTOKOLWIEK NA NIE SPOJRZY, USŁYSZY TO IMIĘ:
WINKELRIED!... IMIĘ TAKIE JAK ONE OLBRZYMIE,
NA NIEBIE DUCHA W WIECZNE WYRYTE KONTURY.
JAKŻE DUMNE BYĆ MUSZĄ ONE, CO SĄ JEGO
KOLEBKĄ, DNIEM ŻYWOTA I ŚMIERCI POMNIKIEM—
ALPY WOLNE—WINKELRIED NIE BYŁ NIEWOLNIKIEM!
BŁYSNĄŁ Z PIERSI DZIDAMI NA KSZTAŁT PROMIENNEGO
SŁOŃCA, A ŁUNA JEGO KRWI CZERWONEJ PŁONIE
KORONĄ ŚWIATŁA NA ALP PODNIEBNEJ KORONIE.—
WINKELRIED—OTO ŚWIĘTY Z OWEGO PACIERZA,
KTÓREGO WSZĘDY MATKA WINNA UCZYC SYNA—
JESTTO RELIGJA, KTÓRA O SERCE UDERZA,
JAK O MIECZ W TERMOPILACH BIŁY KROPLE WINA;
JESTTO RELIGJA, KTÓRA SPRAWIA WIELKIE CUDA,
JEJ BÓG NIGDY NIE WISIAŁ PRZYBITY DO KRZYŻA,
ALE KOCHAŁ BEŁT ŚMIGŁY, KOCHA WIELKOLUDA
I DEPTAŁ PO TYCH, KTÓRYCH KARK ZWIĘDŁOŚC UNIŻA.

KAZIMIERZ TETMAJER.

NASI WSPÓŁPRACOWNICY.



Adam Krechowiecki.

Redaktor „Gazety Lwowskiej", znakomity powieściopisarz i krytyk literacki, urodzony w Humańszczyźnie, kształcił się w gimnazjum żytomierskiem, do dziś dnia czuje się blisko z Ukrainą związanym.



Władysław Galimski.

Artysta-malarz, profesor i akademik, urodzony w Kijowie, w roku ubiegłym obchodził 25-letni jubileusz swej pracy artystycznej. W niedawno otwartym „Salonie" Kijowskim—obrazy Galimskiego zwracają powszechną uwagę.

Na wygnanie...

W roku bieżącym minie 25 lat od chwili, gdy po dokonanym zamachu stanu ogłoszono dn. 15 listopada 1889 r. w Brazylji—rzeczpospolitą.

Przedstawiciele ludu brazylijskiego, w celu uczczenia tego pierwszego jubileuszu rządów demokratycznych, uchwalili w Izbie deputowanych sprowadzenie śmiertelnych szczątków ostatniego monarchy brazylijskiego, cesarza Dom Pedra II, oraz małżonki jego Teresy Krystyny de Rio de Janeiro i złożenie ich we wspaniałem, specjalnie na ten cel wybudowanem mauzoleum.

Piękny gest! niema co mówić! Ale cóż? Izba wyższa, składająca się z senatorów, nie zatwierdziła uchwały Izby niższej i jak na razie szlachetny odruch ludu brazylijskiego pozostanie w sferze... projektów, które najczęściej nie dochodzą nigdy do skutku. Gdy pierwszy entuzjazm minie, nie tak prędko znajdzie się sposobność do powtórzenia tego pięknego gestu.

Z powodu tego, pełnego szlachetnej myśli, a niedoszłego projektu uczczenia monarchy, który kilkadziesiąt lat swego życia poświęcił dla dobra i sławy swego państwa, nie od rzeczy będzie przypomnieć kilka tragicznych szczegółów aresztowania oraz odjazdu na wygnanie rodziny cesarskiej.

Dn. 15 listopada 1889 r., po ogłoszeniu rzeczypospolitej, rodzina cesarza z sędziwym monarchą na czele została uwięzioną w pałacu w Rio de Janeiro. Ale pomimo wielkiej pewności siebie, jaką pozornie okazywali brazylijscy mężowie stanu, którzy przez zamach doszli do władzy, obecność cesarza w Brazylji wzbudzała wśród nich silne zaniepokojenie.

Nazajutrz po ogłoszeniu rzeczypospolitej dowódca siły zbrojnej Solon wręczył monarsze w imieniu rządu tymczasowego ultimatum, w którem wyrażono przyczyny wybuchnięcia rewolucji i określono ściśle warunki wyjazdu na wygnanie cesarza wraz z rodziną.

Cesarz, przeczytawszy wręczone mu przez Solona ultimatum, odpowiedział na nie w ten sposób:

„Wobec przedstawienia, uczynionego mi dziś o godz. 3 po poł. na piśmie, zdecydowałem się, ustępując przed siłą wypadków, odjechać do Europy wraz z całą moją rodziną; jutro opuścimy ukochaną Ojczyznę, której przez pół wieku bez mała usiłowałem okazywać nieustanne dowody miłości i poświęcenia. To też w chwili, gdy ją opuszczam na zawsze, mogę zapewnić, że zachowam o Brazylji wspomnienia najgorętsze i ślę Jej życzenia wielkości i pomyślności.

Rio de Janeiro, d. 16 list. 1889 r.

D. Pedro de Alcantara".

Następczyni tronu, hrabina d'Eu, dała następującą odpowiedź:

„Z sercem rozdartem z bólu, oddalam się od moich przyjaciół, od wszystkich Brazylijczyków i z kraju, który kochałam i kochać nie przestanę, z kraju, do którego szczęścia usiłowałam przyczynić się i dla którego nie przestanę żywić najgorętszych uczuć.

Rio de Janeiro, dn. 16 list. 1889 r.

Izabela hrabina d'Eu".

Wobec wielkiego zaniepokojenia, jakie panowało wśród nowego rządu, chwila odjazdu rodziny cesarskiej posiadała wielką doniosłość. Zasadniczo zdecydowano nie chwytać się gwałtownego postępowania z monarchą zdetronizowanym, a jednak myśl rozpaczliwego oporu w ostatniej chwili z jego strony, lub kogoś z rodziny cesarskiej, nie mogła nie wzbudzić pewnego niepokoju wśród nowego rządu.



Stanisław Gliński.
Poeta i literat, a jednocześnie prawnik-mecenas członek redakcji „Kłosów Ukraińskich".



Wirginja Kierznowska.
Powieściopisarka i nowelistka, znana pod swem panieńskiem nazwiskiem Wyleżyńskiej, korespondentka „Kłosów Ukraińskich" z nad Teterowa.

Przytem i inne jeszcze okoliczności, związane ściśle ze zmianą ustroju państwowego, powiększały niebezpieczeństwo chwili.

W tych trudnych okolicznościach ministrowie rządu tymczasowego zdecydowali się zatrzymać hrabiego d'Eu, małżonka następczyni tronu, i uwięzić w charakterze zakładnika, aż do chwili przyjazdu rodziny cesarskiej do Europy. Misję uprzedzenia o tem hr. d'Eu i uwięzienie go powierzono podpułkownikowi Malet'owi. Ten ostatni zapytał ministrów, jak ma postąpić w danym wypadku, gdyby naprzykład trudna i delikatna jego misja wywołała jakieś poważne zajście. „Jeżeli hrabia opierać się będzie i odmówi towarzyszenia mi? lub jeżeli księżna pomagać mu będzie w oporze, uczepi się go rozpaczliwie w chwili rozłąki, jak wierna żona, której chcą porwać męża? Co wtedy robić?"

Rząd tymczasowy, pełen niepewności, szukał szybkiego rozwiązania tej sprawy. Hr. d'Eu pomógł mu pośrednio, przysyłając przez swego marszałka dworu list, adresowany na imię Malet'a, omawiający warunki ewentualnego wyjazdu rodziny cesarskiej z Brazylji.

W liście hr d'Eu wszystkie kwestje sprowadzały się wyłącznie do zaspokojenia przez nowy rząd interesów materjalnych rodziny cesarskiej. Czy cesarz i jego blizcy będą wysłani do Europy bez żadnych środków? Czy dobra ich będą skonfiskowane, czy też będą oni mogli niemi rozporządzać, jak to miało miejsce 7 kwietnia 1831 r., gdy pierwszy cesarz brazylijski został wygnany? Czy będzie udzielona pensja księżnie i t. d.?

Te pełne niepokoju jedynie o byt materjalny zapytania hr. d'Eu oświeciły w zupełności Malet'a, który zrozumiał, że poważniejszego oporu ze strony rodziny cesarskiej nie należy oczekiwać. Tego samego dnia hr. d'Eu, jako marszałek armji brazylijskiej, zwrócił się z listem urzędowym do ministra wojny, pułkownika Benjamina Constanta Botelho de Magalhassa, prosząc go o pozwolenie opuszczenia kraju, oświadczając jednak jednocześnie, że gotów jest dalej służyć w armji brazylijskiej „pod jakimkolwiek bądź rządem".

Wobec tego listu hr. d'Eu, ministrowie rządu tymczasowego porzucili myśl aresztowania hr. d'Eu i upoważnili Malet'a do traktowania z rodziną cesarską w sprawie jej wyjazdu, odpowiadając jednocześnie jaknajżyczliwiej na żądania hr. d'Eu co do materjalnego odszkodowania i zawiadamiając, że rząd tymczasowy przygotowywa dekret, mocą którego udzieloną będzie cesarzowi suma 14 miljonów franków na wydatki, wywołane jego wyjazdem i osiedleniem zdala od Ojczyzny.

Księżna (hr. d'Eu), która była obecną podczas rokowań, przerwała gwałtownie Malet'owi:

— Tu nie o pieniądze chodzi! dla mnie bolesnem jest opuścić Ojczyznę, gdzie zostałam wychowaną i gdzie umieściłam moje uczucia. I to, czego żałuję najwięcej, to nie tron, ani chciwość honorów, której nie posiadam zupełnie!

Tymczasem przyśpieszano odjazd. Malet naglił, księżna jednak oświadczyła głosem, przerywanym przez łkanie, że nie odjedzie bez dzieci, które znajdowały się wówczas w Petropolis, letniej rezydencji rodziny cesarskiej.

Wtem w drzwiach ukazał się cesarz. Ubrany był, jak zwykle, w tużurek, w ręku trzymał kapelusz, towarzyszył mu lekarz przyboczny i powiernik hr. da Motta Maia. Wchodząc do sali, odezwał się cesarz:

— Co to ma znaczyć? Więc mam odjechać o tej godzinie, w nocy?

— Rząd prosi Waszą Cesarską Mość, abyś raczył odjechać przededniem. Jest to konieczne! — odezwał się Malet.

— Jaki rząd?—zapytał się monarcha.

— Rząd Rzeczypospolitej! — odpowiedział Malet.

— Czy Deodoro da Fonseca bierze w nim udział?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, jest on naczelnikiem Rządu tymczasowego! —odrzekł Malet.

— Ależ, oni są wszyscy warjaci!— przerwał zniecierpliwiony monarcha i w dalszym ciągu mówił:

— Nie jestem uciekającym murzynem, nie odjadę o podobnej porze.

— Najjaśniejszy Panie! obawiają się niebezpiecznych manifestacji, — przekładał Malet, — i ostrożność ta

jest przedsiębrana jedynie w celu zabezpieczenia rodziny cesarskiej.

— Jakie manifestacje? — zapytał cesarz.

W tem miejscu p. Jaceguay, którego uwięzienie podczas zamachu stanu nie zostało utrzymane w mocy i któremu pozwolono pożegnać się z cesarzem, poprosił o pozwolenie wtrącenia się do rozmowy, w celu nakłonienia monarchy do natychmiastowego odjazdu.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł p. Jaceguay —Wasza Cesarska Mość powinieneś natychmiast odjechać. Rzeczywiście istnieje poważna obawa niebezpiecznych manifestacji ze strony studentów.

— Któż przywiązuje wagę do studentów?—zaoponował cesarz.

Z tych, co mieli odjechać jeszcze tej nocy na wygnanie, brakowało w sali tylko cesarzowej. Wreszcie zjawiła się ona w towarzystwie jednej ze swych dam honorowych.

Podczas, gdy wszyscy znajdowali się w sali, bezradni i niezdecydowani, naraz usłyszano strzał na placu przed pałacem cesarskim. Malet natychmiast zeszedł, aby przekonać się, co było jego powodem. Okazało się, że piętnastu marynarzy zostało aresztowanych przez dowódcę siły zbrojnej Solona i przy tej okazji użyto broni.

Gdy Malet wrócił do sali, wśród obecnych panowało to samo uczucie wątpliwości i niecierpliwości. Wszystko było gotowe do odjazdu, lecz nikt z rodziny cesarskiej nie był zdecydowany opuścić to stare, pełne wspomnień gniazdo rodzinne, które było świadkiem narodzin i rozwoju monarchji.

Tymczasem hr. d'Eu pierwszy ustąpił przed usilnemi naleganiami Malet'a, podszedł do monarchy i w milczeniu podawszy mu ramię, pomógł mu uczynić pierwszy krok ku wygnaniu... Za nimi wszyscy ruszyli. Stary, zdetronizowany monarcha ciężkim, niepewnym krokiem zstępował powoli ze schodów, powtarzając nieustannie te same słowa:

„Nie odjadę o tej porze, jak uciekający murzyn"...

Przed bramą pałacową na pustym zupełnie podówczas placu stała jedna tylko kareta, ta sama, którą przyjechali oficerowie, mający polecenie pilnowania odjazdu rodziny cesarskiej.

Pośpiech, z jakim nastąpił odjazd, nie dozwolił nawet pomyśleć o pożegnaniu się ze świtą cesarską. Przestrzeń, dzieląca pałac od przystani, była tak mała, że hr. d'Eu chciał pójść pieszo, dopiero na usilne nalegania monarchy zajął on miejsce w karecie obok niego, cesarzowej, księżny i Dom Pedra Augusta, który tam już poprzednio zajął miejsce. Ten żałobny, w swoim rodzaju, pochód ruszył powoli, wszyscy asystujący mu udali się za karetą pieszo.

— Pożałujesz pan, panie Malet! — rzekła, siadając do karety hrabina d'Eu.



Józef Chełmoński.
Znakomity artysta-malarz zmarły w Kuklówce pod Warszawą dn. 6 kwietnia (n. st.).

W przystani Pharoux oczekiwał na dostojnych wygnańców mały statek z arsenału, którego załogę stanowili czterej uczniowie szkoły wojskowej. Wśród obecnych jedynie margrabia de Tamandare oświadczył chęć towarzyszenia rodzinie cesarskiej aż na pokład okrętu.

„Ale obecnie czy nie stanie się coś złego?"—zapytywał sam siebie nieustannie Malet. Niepokój jego rósł z każdą chwilą. Minister marynarki obawiał się bardzo czegoś niebezpiecznego, co może nastąpić na morzu i pokrzyżuje plany republikanów. Niektóre okręty wojenne odmawiały do tej pory zdjęcia flagi cesarskiej. Pogłoski o kontrrewolucji krążyły uporczywie. Marynarze wylądowujący nie ukrywali bynajmniej swej antypatji do rzeczypospolitej i przed chwilą jeszcze komendant Solon zmuszony był uwięzić piętnastu marynarzy w pobliżu pałacu cesarskiego.

Noc była dżdżysta, w ciemnościach nie sposób było odróżnić okrętów; nikt na przystani nie znał dokładnie pozycji okrętów. Błądzono w ciemności, spostrzegano gdzie nie gdzie słabe światełka na pokładach. Przybliżano się to do jednego, to do drugiego okrętu, lecz nie był to „P a r n a h y b a" przeznaczony do odjazdu rodziny cesarskiej.

Wreszcie zbliżono się do niego. „Opuścić drabinę"! krzyknął Malet. Na górze z pokładu odezwał się jakiś niespokojny głos, zapytując: kto to? kto żąda spuszczenia drabiny?... „Opuścić drabinę!"—krzyknął po raz drugi Malet, dając jednocześnie poznać się.

Wówczas podjechano bliżej do okrętu. Kapitan Serrano pierwszy wskoczył, aby podać rękę cesarzowi. Ciemno było prawie zupełnie, mała lampka rzucała na drabinę słabe, mdłe światełko Malet i hr. Motta Maia z obu stron na próżno usiłowali pomagać cesarzowi przejść ze statku na drabinę. Opierając się jedną nogą na pokładzie małego statku i nachyliwszy się, aby uniknąć uderzenia w głowę o krawędź dachu, cesarz usiłował przejść na drabinę. Wysoki wzrost cesarza, słabe nogi i niepewnośc ruchów, wszystko to razem przeszkadzało monarsze.

Gdyby tak cesarz wpadł do morza pomiędzy małym statkiem a drabiną, ratunek był by wprost niemożliwy. Malet zdawał sobie jasno sprawę ze strasznego położenia, w jakiem się znajdował. Wiedział i aż nadto rozumiał, że byłby on w tym wypadku zgubiony moralnie. Nie uniknąłby on podejrzeń, a nawet wprost zarzutu zbrodni, dokonanej na zdetronizowanym monarsze. Wystraszony i pełen złowrogiej trwogi, Malet był zdecydowany w razie wypadku rzucić się w morze i albo wyratować cesarza, albo samemu również zginąć.

Pochwyciwszy silnie cesarza za rękę, przy pomocy jednego z marynarzy, udało się Maletowi przeprowadzić go przez drabinę.

Kapitan Serrano wprowadził wówczas cesarza na pokład okrętu. Teraz przyszła kolej na księżnę; weszła ona bez niczyjej pomocy, poprzedzana przez

hrabiego d'Eu, za nią zaś szedł Malet. Lecz wejście cesarzowej na okręt było również bardzo utrudnionem i nader przykrem, gdyż, jak wiadomo, cesarzowa była cokolwiek kulawa. Margrabia de Tamanderé towarzyszył rodzinie cesarskiej aż na pokład Parnahyby.

Trzeba było być naocznym świadkiem, aby odczuć cały ogrom tych smutnych perypetji, jakie towarzyszyły tej bolesnej i tragicznej podróży monarszych wygnańców z Rio do Ilha Grande, gdzie dostojni podróżnicy mieli się przesiąść na inny okręt, mianowicie na Alagoas, który miał odwieźć rodzinę cesarską do Portugalji.

Parnahyba był pilnie strzeżony zblizka przez krążownik Riachuelo, aż do chwili, kiedy z brzegów brazylijskich nie stracono z oczu okrętu wiozącego wygnańców.

Podczas tej długiej i tragicznej podróży, ani jedna skarga, ani jedna aluzja, co do wypadków, nie wymknęła się z ust szlachetnego monarchy. Jego pogodna filozofja wzlatywała wysoko po nad niesprawiedliwość ludzką, na którą zdetronizowany monarcha był obojętny.

Zdawało się, że go nic nie obchodzi, oprócz tej ziemi brazylijskiej, której kontury z oddala coraz więcej zacierały się we mgłach przed oczyma wygnańca. Myślał jedynie o ukochanej Ojczyznie, do której z wygnania swego miał wkrótce wysłać, z okazji otrzymania grudki ziemi ojczystej do trumny, tkliwy sonet p. t. „Terra do Brazil".



Grobowiec Bohdana Zaleskiego
zmarłego w Paryżu w dn. 30 marca 1886 r.
W dniu dzisiejszym upływa właśnie 28 lat od chwili zgonu pieśniarza Ukrainy.

Wzruszony tym darem, sędziwy monarcha napisał wtedy:

„Gdy dziecię, wystraszone widmami „nocnemi, szuka przytułku na łonie „matczynem, zamyka oczy, zasypia, „odpoczywa".

„Straciłem wszelką ujrzenia ziemi ojczystej nadzieję, lecz otrzymałem tej „ziemi garść, słodka mi ona będzie „podczas snu wiecznego, do którego „wkrótce się ułożę".

„Jak dziecię uśpione na łonie przyjaznem, smutne moich wspomnień odpędzając cienie, o! słodka Ojczyzno „moja! marzyć będę o Tobie!"

„I wśród wizji pokoju, światła i sławy, spokojny w mem łożu śmiertelnem, oczekiwać będę sprawiedliwości „Bożej przez głos Historji."

Powracając do smutnej, pełnej tragizmu podróży wygnańców cesarskich, należy dorzucić, że cesarzowa nieustannie płakała, księżna rozpaczała, a hrabia d'Eu zajmował się gorliwie dziećmi. Obłąkanie ks. Dom Pedra Augusta saskiego, syna zmarłej ks Leopoldyny, drugiej córki cesarza, ujawniające się coraz bardziej, potęgowało jeszcze tragizm sytuacji. Młody książę, dotknięty manją prześladowczą i przekonany, że istnieje zamiar pozbawienia życia jego krewnych, rzucił się pewnego razu na kapitana okrętu Alagoas, chcąc go udusić. Od tej chwili musiano rozciągnąć nad biednym młodzieńcem nieustanny i ścisły dozór, co jeszcze bardziej utrudniało sytuację dostojnych wygnańców.

W dwa lata po owej podróży na wygnanie, zgasł zdala od swej Ojczyzny ukochanej nieszczęśliwy monarcha, którego spiżowa postać w dalekie wieki świecić będzie, jako przykład wielkiego patrjjoty-obywatela.

ST. CIESZKOWSKI.

SZTUKA STOSOWANA.



KOBZARZ UKRAIŃSKI.
Przycisk srebrny wyrobu Pierwszego Artelu Jubilerów w Kijowie.

Do epigonów Nietszche'go.

Niejeden „Nietszcheanin" z góry zapowiada,
Że kochać bliźniego teraz nie wypada,
Że najnowsze badania (precz tam ideały!)
Genezę moralności jasno wykazały,
Że indywidualizm wyższy, sobkowski kult „Ego'
Stoi z tamtej strony dobrego i złego,
Że etyka chrześcijańska to rzecz niewolnika
Tak Zarathustra rzecze.
Tak, biedny nadczłowiecze,
Mówię ci stanowczo:
Dobrze, że słuchasz swego mistrza owczo
(Chociaż głos wewnętrzny pewno Ci podpowie,
Że quod licet Jovi — non licet bovi...)
Tak, imperatyw moralny wyszedł z niewolnika,
Twój zaś „*indy*widualizm" napewno... z *indy*kal

Czytelniku, zrozumiałeś mą etymologię,
Zrozum też „indyków" wyższą psychologię.

STANISŁAW GLIŃSKI.

BOLESŁAW KOREYWO.

TE i TAMTE.

Powieść.

2)

— Jakto, już pan żałuje, że nie poznał mię tu wcześniej? — przerwała mu nieznajoma, a w tonie, jakim to powiedziała, Marzyński dosłyszał wyraźnie nutkę zawodu.

— Wszak nie znasz mię pan wcale... A może jestem potwornie brzydka i wcale nie interesująca jako towarzyszka zabawy?...

Gdyby w chwili, gdy to mówiła, w oczy jej spojrzał lepszy znawca kobiet, niż Marzyński, wyraz tych oczu poinformowałby go odrazu, że nieznajoma jest kobietą piękną i aż nadto pewną swej piękności.

Lecz Marzyński nie mógł się chełpić wcale znawstwem kobiet, ani też nie przyszło mu na myśl w tej chwili zajrzeć w oczy nieznajomej. Zmuszony był bowiem, eskortując ją, pracować energicznie lewym łokciem, aby usunąć z jej drogi ogłupiałe i znieruchomiałe wskutek gorąca i ścisku maszkary, przyczem jak papuga powtarzał co chwila: „wybaczy pan... przepraszam... pani pozwoli“. . i t. d. w kółko.

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, nieznajoma dodała z pewnem zniecierpliwieniem w głosie:

— Widocznie nie jest pan zbyt wybredny co do kobiet. Byle tylko była kobietą...

— Oh, przepraszam, myli się pani w swym sądzie o mnie... — zaprzeczył Marzyński: — Wcale nie poddaję się tak łatwo urokowi pierwszej lepszej napotkanej kobiety! Chociaż... — dodał z charakterystyczną dlań szczerością —rzeczywiście piękne kobiety działają na mnie wprost oszałamiająco i dlatego unikam je...

— Aaa, dziękuję panu za miły komplement .. Więc dlatego zgodziłeś się zaopiekować chwilowo moją osobą, iż zgadujesz pod ukrywającą mię maską moją brzydotę, nieprawdaż? — rzuciła nerwowo, z odcieniem złośliwości.

— Nic nie zgaduję, ani mię to w tej chwili nie obchodzi... — uśmiechnął się Marzyński. — Usiłuję tylko wydobyć panią z tej łaźni i sam pragnę jaknajprędzej dostać się już do mego mieszkania.

— A jeśli będę prosiła, abyś mię odwiózł do domu? ..

— Jestem do usług... — odparł bez wahania, chociaż czuł się już tak znużonym, iż wolałby nie słyszeć tej propozycji.

— A więc, jeśli pan jesteś już tak rycerskim, wytrwaj w tej rycerskości i pomóż mi odnaleźć moją przyjaciółkę, z którą się na ten bal wybrałam, a która sama bez opieki wrócić do domu nie może.

Marzyński mimo woli westchnął. Cieszył się, że po tylu trudach udało się im wreszcie dotrzeć do tego punktu sali, skąd zaledwie parę kroków dzieliło ich od wyjścia — i oto towarzyszka tej żmudnej podróży proponuje mu odszukać jej koleżankę wśród tego skotłowanego tłumu.

Przyszło mu w tej chwili na myśl, że chęć drapnięcia z balu ze strony niebieskiego zjawiska wcale nie była szczerą, był to zapewne tylko pretekst do zaczepienia go. Nie umiejąc ukrywać swych uczuć, w jednej chwili stracił resztę humoru.

Cofać się jednak już nie wypadało. Trzeba było wytrwać w narzuconej mu przez nieznajomą roli rycerza.

Los mu jednak widocznie sprzyjał, a pokora, z jaką zamierzał zastosować się do woli swej przygodnej towarzyszki, pokora, znana z tego, że nawet „niebiosa przebija“, została niezwłocznie wynagrodzona, bo właśnie w chwili, gdy zamierzał rozpocząć dalszą wędrówkę wśród kłębiących się „bałwanów“ maskaradowych i już miał się zwrócić do swej towarzyszki z pytaniem, jakiego koloru stroik ma na sobie poszukiwana niby przez nich osoba (chociaż wątpił już o jej istnieniu wogóle), aby w stronę tej barwy skierować swe kroki, — ujrzał tuż przed sobą odźwierciedlenie swej towarzyszki w postaci drugiej zamaskowanej niewiasty. Tegoż koloru domino, kapturek, półmaska, takież koronki, zasłaniające dolną część twarzy, ten sam wzrost, jednem słowem najściślejsze *facsimile* wspartej na jego ramieniu nieznajomej.

Stanął mimowoli i spojrzał pytająco na swą damę.

— Ma pan szczęście... — zaśmiała się nerwowo — oto jest właśnie moja przyjaciółka!..

— Nelly... — zwróciła się półgłosem do swego *facsimile:* — jadę już do domu, przypuszczam, że i ty masz już dość tego „towarzystwa“...

— Właśnie szukałam cię, aby zaproponować ci odwrót... — odparła tamta głosem znudzonym.

— Żałuję, żem się dała namówić na tę eskapadę...

Podczas tej krótkiej rozmowy, Marzyński, nie biorąc w niej udziału, patrzał to na jedną, to znów na drugą maskę, usiłując dostrzedz jakibądź szczegół bodaj, któryby odróżniał jedną od drugiej, bo nawet głosem—tak mu się zdawało przynajmniej — nie różniły się wcale.

— Jakieś bliźnięta maskaradowe...— pomyślał, uśmiechając się pod wąsem.

W tej chwili jednak *vis à vis* jego rzuciło nań przelotne spojrzenie i zwróciło wzrok pytający na jego towarzyszkę.

— Ah, zapomniałam przedstawić ci mego rycerza! Poznajcie się, państwo...— zwróciła się ze śmiechem do Marzyńskiego: — wymiana nazwisk jest wszak zbyteczna na... maskaradzie.

Marzyński uścisnął dłoń drugiego niebieskiego zjawiska, poczem, nie tracąc czasu, ofiarował mu swe lewe ramię i tak, błogosławiony między dwiema niebieskiemi niewiastami, spiesznie skierował się ku wyjściu.

— — — — — — — —

Sanie mknęły szybko, unosząc Marzyńskiego i dwie jego przygodne towarzyszki. Siedząc na przodzie, Marzyński marzł porządnie w swym szynelu studenckim, a chociaż nadrabiał miną, prosił Boga, aby jaknajprędzej skończyła się już ta nieciekawa przygoda, zawdzięczając której występował już od godziny w roli *cavaliere servante*, opiekuna jakichś zrewoltowanych panien z „lepszego towarzystwa“, co w tej chwili aż nadto odczuwał, ponieważ ta druga—*facsimile* pierwszego niebieskiego zjawiska, po wymianie z nim kilku słów, siedziała obecnie milcząca

i zasklepiona w sobie, nie uważając wcale na jego obecność, traktując go (tak wytłumaczył sobie jej zachowywanie się) jako lokaja, asystującego pannom dla bezpieczeństwa w tej nocnej podróży.

Pierwsza jego przygodna znajoma, usiłując zapewne nieco złagodzić sposób traktowania Marzyńskiego przez jej przyjaciółkę, od czasu do czasu odchylała z poza zarękawka, którym zakrywała od wiatru swą zamaskowaną dotychczas twarz, zakapturzoną główkę i rzucała mu z robionem współczuciem i jednocześnie z zalotną wesołością krótkie pytania w rodzaju: „Bardzo zziąbłeś, mój rycerzu?...“ albo: „Czy dobrze się bawisz?,..“

Ponieważ Marzyński rzeczywiście zziąbł okropnie, a przygoda ta wcale zabawną dlań nie była, odbąkiwał jej coś niechętnie pod nosem i coraz bardziej tracił humor.

Westchnął z ulgą, gdy sanie zatrzymały się przed domem, wskazanym dorożkarzowi, jako mieszkanie jednej z jego towarzyszek. Zrezygnowany, przygotowany na wypicie czary goryczy do dna, chciał z wrodzoną mu galanterją pomódz jej wysiąść z sanek, lecz ta powstrzymała jego rycerskie zapędy królewskim ruchem ręki i, zaledwie skinąwszy głową, rzuciła pośpiesznie:

— Proszę nie fatygować się, dziękuję i żegnam... — poczem znikła we drzwiach trzypiętrowej kamienicy.

Marzyński usiadł obok pierwszego swego utrapienia i, powstrzymując się od szczękania zębami z chłodu, zapytał, siląc się na uprzejmy ton:

— Dokąd szanowna pani każe siebie odwieźć?

— Tymczasem każ pan jechać wprost, naradzimy się jeszcze...

Rzucił dorożkarzowi krótki rozkaz i z desperacką wprost rezygnacją zagłębił się w powozie.

— Ależ musiał pan rzeczywiście zmarznąć strasznie...—zwróciła się doń jego dręczycielka, patrząc mu wprost w oczy.

— Proszę schować swoje łapy do mego zarękawka, będzie nam obojgu lepiej... — dodała pieszczotliwie.

Chciał zaprotestować, lecz energiczna dręczycielka sama włożyła jego zziębnięte dłonie do swego ciepłego i przepojonego zapachem „Bouquet Farnèse“ zarękawka, łącząc w tem ciepłem i pachnącem schronisku dłonie Marzyńskiego ze swemi, z których poprzednio zdjęła widocznie rąkawiczki, odczuł bowiem w tej chwili, jednocześnie z cieplikiem, jaki zawierała w sobie futrzana mufka — jeszcze inny łechcący ciepllk — drobnych kobiecych dłoni

Zawsze zbyt może wrażliwy na tego rodzaju fluid ciała kobiecego, Marzyński odczuł w swem ciele rozkoszny dreszcz, zwiastujący paroksyzm pożądania przytulonej do niego nieznajomej kobiety. Skonstatowawszy jednak swój stan, usiłował opanować owładniającą nim żądzę, i aby przerwać ten nastrój, zapytał prawie opryskliwie, zwracając się do swej towarzyszki:

— Jadąc w ten sposób, wkrótce znajdziemy się poza obrębem miasta... Może kazać zawrócić?..

— Czy panu tak źle ze mną?... — spytała przyciszonym głosem, spoglądając na niego rozmarzonym wzrokiem przez oczodoły półmaski.

Rozbrojony jej pieszczotliwym głosem odzyskał znów humor i zbyt śmiałą, jak mu się wydało po chwili, szczerością odrzekł:

— Na to się znów uskarżać nie mogę, wolałbym jednak być w towarzystwie pani w jakimbądź ogrzanym lokalu, jestem bowiem zmarzluch, więc szlichtada przy ostrym wietrze, nawet w tak miłem towarzystwie, nie jest dla mnie rozkoszą.

— Rozkosz?.. a co może dać nam rozkosz? — rzuciła nieznajoma w przestrzeń pytanie głosem rozmarzonym.

Marzyńskiemu zawisła na ustach nader lakoniczna choć ścisła odpowiedź na to pytanie, ponieważ jednak wcale nie był cynikiem, poskromił ten wymykający się z ust jego wybuch brutalnej szczerości, któregoby zapewne sam za chwilę żałował, i rzekł z uśmiechem:

— Jeślibym był w tej chwili sam... sprawiłoby mi rozkosz jakieś ciepłe, bodaj restauracyjne schronisko i gorąca strawa, ponieważ mam doskonały apetyt i jestem głodny...

— Pyszna myśl!... — zaśmiała się nieznajoma — Ale... — dodała natychmiast, jakby się wstydząc tego wykrzyknika — z czego się cieszę? Przepraszam pana za narzucanie mu swego towarzystwa i proszę o odwiezienie mnie do domu, poczem będę życzyła mu smacznego apetytu, zwalniając raz na zawsze od opiekowania się moją natrętną osobą. Jedźmy więc na ulicę Bankową... — kończyła, poważniejąc.

Niebawem jednak, nie będąc widocznie zwolenniczką nastrojów poważnych, roześmiała się głośno i, patrząc śmiało w oczy Marzyńskiemu, dodała:

— Ale... ha!.. ha!.. żałuję, że nie jestem kokotą, nabrałabym jeszcze pana na kolację, bom też zgłodniała jak wilk!...

Łobuzerski ton, jakim wymawiała te słowa, tak się podobał Marzyńskiemu, że, zapominając o dość szczupłej zawartości swej portmonetki w stosunku do ewentualnych kosztów wspólnej kolacji, przerwał z uśmiechem:

— Ależ spożycie kolacji w towarzystwie pani będzie dla mnie największą przyjemnością, obawiałem się tylko uczynić jej tę propozycję, nie chcąc usłyszeć odmowy. Ponieważ jednak...

— Ponieważ iż... pan Bóg stworzył mysz... — przerwała mu wesoło — ponieważ zapraszam się sama, każ więc pan stangretowi jechać jaknajprędzej do Rootsa, bo mogą nam zamknąć przed samym nosem ten przybytek kulinarnej rozkoszy.

— — — — — — — —

DCN.





OD REDAKCJI.

Dzielimy się z Czytelnikami naszymi wiadomością, iż od zeszytu 3-go drukować zaczniemy w „Kłosach Ukraińskich" cały szereg prac, dotyczących przeszłości naszego kraju. Przygotowujemy również liczne opisy miejscowości historycznych, które uzupełnimy kopjami z obrazów i zdjęciami fotograficznemi.

„Pragniemy służyć zagadnieniom kultury polskiej na Rusi"—pisaliśmy w zapowiedzi naszej. Zadanie to spełnimy, obietnicy dotrzymamy. Pierwszorzędne pióra pisarskie polskie przygotowują już odpowiedni materjał historyczny, opisowy i literacki, dotyczący Rusi-Ukrainy, a artyści-malarze i fotografowie — odpowiedni materjał ilustracyjny.

W zeszycie 3-cim damy również dalszy ciąg rozpoczętych w zeszycie 1-ym artykułów p. t. „Stowarzyszenia polskie w Kijowie" i skreślimy przedewszystkiem nader wyczerpującą historję Rzymsko-Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności w Kijowie.

Obrazek na karcie tytułowej niniejszego numeru „Kłosów Ukraińskich", będący kopją z pięknego studjum Wł. Galimskiego, p. t. „Wiosna na Ukrainie"—w druku trójbarwnym nie wyszedł tak, jak powinien, chociaż wykonanie jego powierzone było zaszczytnie znanym zakładom drukarsko-reprodukcyjnym p. S. W. Kulženki w Kijowie.

W przyszłości obrazki na karcie tytułowej wykonywać będziemy w dwu tylko kolorach, gdyż druk trójbarwny nie został u nas jeszcze dostatecznie udoskonalony.

Oświadczenie.

Ponieważ bardzo dużo osób zgłasza się wciąż do mnie w sprawach powstającego w Kijowie „Gońca Kijowskiego", przeto oświadczam, co następuje:

Przed kilku tygodniami, na propozycję właściciela oraz redaktora-wydawcy „Gońca Kijowskiego", p. Jana Tadeusza Wróblewskiego, zgodziłem się na objęcie stanowiska kierownika nowego pisma i pod moim kierunkiem wyszedł pierwszy (okazowy) numer „Gońca". Okazało się jednakże, iż przeliczyłem się z memi siłami, że za wiele wziąłem na swoje barki. Praca przy redagowaniu „Kłosów Ukraińskich" okazała się tak bardzo uciążliwą i tak bardzo absorbującą, że podejmować się innych obowiązków redaktorskich—nie mogę.

Życząc przeto młodemu „Gońcowi Kijowskiemu" pomyślnego rozwoju, ze smutkiem zmuszony jestem zrzec się kierownictwa tego pisma.

▫ ▫ ▫ *J. Ursyn.*

NIEPOROZUMIENIE.

Pojawienie się „Kłosów Ukraińskich" zwróciło uwagę „Kijewlanina" i dało mu powód na skreślenia całego szeregu artykułów p. t. „Ukrainizm pod polską opieką".

Autora tych artykułów dziwi przedewszystkiem tytuł naszego pisma, gdyż „epitet ukraiński dotąd w literaturze polskiej używany był tylko odnośnie do gubernji kijowskiej"... Myli się jednak szan. autor, zwężając nazwę Ukrainy tylko do części województwa kijowskiego, gdyż, jak powiada Tomasz Święcki w „Opisie starożytnej Polski" — „Ukraina, jako niegdyś prowincja do Królestwa Polskiego należąca, składała się z trzech województw: kijowskiego, czernichowskiego i bracławskiego..." Nadając więc tytuł naszemu pismu, chcieliśmy uwydatnić historyczne i współczesne terytorjum, na jakiem pracować zamierzamy.

Z drugiej strony, nie widzimy żadnej racji negowania nazwy „Ukraina", „ukraiński"—nawet w znaczeniu narodowem. Nie zaprzeczy chyba „Kijewlanin", że narodowy ruch ukraiński istnieje, że powstał on bez opieki i bez pomocy naszej,—powstał pod wpływem poezji Szewczenki, pod wpływem pracy całego szeregu jednostek wybitnych, które poczuły swoją i ludu swego odrębność, kulturalną i historyczną. Dowody tego ruchu miał „Kijewlanin" namacalne — na zeszłorocznym wszechrosyjskim Zjeździe kooperatystów w Kijowie i na tegorocznym wszechrosyjskim Zjeździe nauczycielskim w Petersburgu. Rezolucje obu tych Zjazdów były zupełnie jasne i otwarte —

podkreślały one odrębność kulturalną już nie ludu, ale narodu ukraińskiego, i domagały się praw dla języka ojczystego, zarówno w związkach współdzielczych, jak i w szkołach publicznych. W rezolucjach obu Zjazdów wyraźnie zaznaczono: „język ukraiński“, co dokumentalnie stwierdza, iż ta nazwa nie jest żadną „intrygą polską“, ani żadnym wynikiem „agitacji polsko - galicyjskiej“, lecz wyrazem opinji odłamów, nie mających nic wspólnego z polską kulturą, zamieszkałych nawet daleko po za granicami Galicji i prawobrzeżnej Ukrainy. Żądanie „Kijewlanina“, byśmy na budzący się ruch ukraiński zakrywali oczy lub zwalczali go w imię „jedności wszechrosyjskiej“ — jest, co najmniej, dziwne. Nie mamy na to żadnej racji, żadnego obowiązku i żadnej ku temu mocy. Ten ruch powstaje po za sferą naszych wpływów, nie grozi nam na tutejszym gruncie żadnem niebezpieczeństwem i nie wymaga od nas żadnej antyukraińskiej mobilizacji. Przeciwnie, są pewne punkty styczne naszej wspólnej doli i niedoli.

Ukraińcy dowodzą, że nazwa Ruś, ich dawna nazwa historyczna, stała się w Rosji synonimem negacji ich narodowości, została przez Rosję po-Piotrową—zaanektowana. Dowodzą, że od wieku XVII, od wielkich wojen kozackich, toczonych z silnem zabarwieniem socjalnem, utrwalała się nazwa Ukrainy, którą dziś naród ukraiński, nie tylko w pieśni, ale i w życiu politycznem nieodwołalnie przyjmuje za swą „nazwę narodową“... Skoro tak piszą Ukraińcy, nie tylko z kulturą polską związani, lecz i Ukraińcy z dalekiej Połtawszczyzny oraz Charkowszczyzny — to dlaczego „Kijewlanin“ żąda od nas, byśmy z tem walczyli? W imię czego? dla czyjej korzyści?

My mamy dosyć swoich własnych spraw narodowych, nieuregulowanych i nierozwiązanych. W spory cudze mieszać się nie możemy, od kierownictwa i wyrokowania w tych sporach uchylamy się. My na tem terytorjum mamy swoje własne prawa i interesy, których bronić musimy i będziemy, a których nam Ukraińcy nie zaprzeczają. Jesteśmy tu, z naszą polską kulturą, nie kolonistami, lecz odwiecznymi tej ziemi obywatelami, i takimi pozostaniemy, pragnąc gorąco rozwoju i pomyślności dla tej naszej tutejszej Ojczyzny, dążąc do zgody z sąsiadami, do wzajemnego poszanowania praw i obowiązków.

Wydrwiwa „Kijewlanin“ nasze redakcyjne oświadczenie, iż „przyszłość tego kraju nie może się kształtować bez wysiłków ze strony ludności polskiej“. Nazywa to „Kijewlanin“—„niezbyt pochlebnem dla Rosjan proroctwem...“ Dlaczego? Więc „Kijewlanin“ nie uznaje żadnej naszej mocy kulturalnej? więc „Kijewlanin“ nie uznaje potrzeby naszej tu pracy, naszych tu wysiłków? Czy jak Bismarck ongi, chce nas wysłać wszystkich do Monte-Carlo? I czy jako „państwowiec“, jako „monarchista“, widzi więcej pożytku z trutniów i utracjuszów, niż z obywateli statecznych, pracowitych, światłych i kraj miłujących?

„Kijewlanin“ powinien zrozumieć, że naród dwudziestodwumiljonowy, naród z wysoką kulturą, z promienną przeszłością — nie zginie i zginąć nie może. Na każdem miejscu swego bytowania, w każdej dzielnicy wielkiej Ojczyzny — praca jego ma i mieć będzie swój wyraz, swój wpływ i swą siłę. I jako naród o wyższej cywilizacji i pięknej tradycji, nie posunie się nigdy naród polski do tamowania pracy i obywatelskich wysiłków współżyjących z nim narodów. Wysiłki te zawsze uzna, pracę oceni, do wspólnych trudów chętnie stanie, pod szczytnem hasłem—równi z równymi!

Dla „Kijewlanina“ to hasło brzmi zawsze „podejrzanie“, „destrukcyjnie“ i „separatystycznie“ — dla nas jest hasłem zgody, ładu, rozwoju, postępu—i rozkwitu.

J. Ursyn.

Narodowość a pochodzenie.

W dobie obecnej, gdy narody, zdawałoby się uśpione, a nawet uznane przez niektórych za wymarłe, zaczynają się budzić, powstała na naszym gruncie, zapoczątkowana wprawdzie przez nieliczne dotąd jednostki, idea asymilacji współobywateli odmiennej kultury i narodowości.

Prawa do odradzania się i wyodrębniania odmiennych szczepów nikt bezstronnie myślący odmówić nie może.

Wiek XIX i początki XX wykazują przykłady żywiołowego niemal odrodzenia się narodowości, na których historja dawno krzyżyk postawiła.

Nie mówiąc już o Czechach, którzy, bezlitośnie niemczeni w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, urośli w drugiej—na naród potężny, spójrzmy na południowych Słowian w granicach Austrji i na Półwyspie Bałkańskim; spójrzmy na Ślązk pruski i austrjacki, dobijający się swych praw narodowych.

Rusini galicyjscy, których egzystencja jeszcze w pięćdziesiątych latach XIX stulecia była ignorowana, stanowią obecnie czynnik, z którym i państwo i współobywatele liczyć się muszą.

To samo dzieje się i gdzieindziej. Takie szczepy, jak Estowie i Łotysze, o których istnieniu szerszy ogół w ostatnich latach dopiero się dowiedział, tacy Litwini, w których identyczność z Polakami do niedawna wierzyliśmy bezwzględnie,—odradzają się i wytwarzają własną inteligencję.

A Ruś ukraińska, Białoruś i inne dzielnice? Niepodobna im odmówić prawa do samookreślenia się.

Nie jest to separatyzm państwowy.

Wszak w granicach państw zachodnich, w takiej np. Belgji lub nawet Francji, widzimy całkiem odrębne właściwości kulturalne, a nawet językowe, doskonale zżywające się z dążnościami państwowemi.

Tyle o ewolucyjnym, a jednak żywiołowym ruchu, jaki bezsprzecznie panuje obecnie w całej Europie.

Wracam do poruszonej sprawy asymilacji lub „powrotu“ do stanu pierwotnego mniejszości, zaliczającej się do innej narodowości i kultury.

Niestety, takie herezje wygłaszane bywają na łamach prasy polskiej w czasach ostatnich. Powstało nawet stron-

nictwo (na szczęście nieliczne), mające swój, po polsku redagowany organ „Litwa“, nawołujący do apostazji na rzecz większości.

I u nas na Rusi coraz częściej podnoszą się głosy, jak dotąd jednostek, nawołujące do tak oportunistycznego załatwienia sprawy.

Jak wstrętną jest zachęta do takiego zbiorowego zaprzaństwa, rozwodzić się nad tem nie będę.

Zastanowić się jednak godzi, czy ci panowie rzeczywiście sądzą, że miljon przeszło Polaków, (mniejsza o pochodzenie), zamieszkałych od wieków na Rusi, tak łatwo pozbędą się swej kultury i narodowości? Powątpiewam, aby byli tak naiwni.

Wszak bezwątpienia i ci, których pochodzenie jest niewątpliwe od kniaziów i bojarów litewsko-ruskich, stanowczo zaprotestują przeciwko takim zakusom; a i bracia zagrodowi, poniekąd słabo uświadomieni, na to nie pójdą.

Nie, panowie apostaci! z tego ziarna mąki nie będzie! Wolno wam, jako takim, opuszczać pole walki, przerzucać się do młodszego, więc pozornie silniejszego obozu; wszak zaprzańców, w łonie naszego nieszczęśliwego narodu, niestety, nigdy nie brakło. Ale aspiracje swoje pozostawcie dla swego wyłącznego użytku.

Propaganda „powrotu“ do stanu pierwotnego zadaleko Was może zaprowadzić. Wszak w ten sposób wyzbylibyśmy się większości mieszczaństwa polskiego, które jest bezwarunkowo pochodzenia cudzoziemskiego. Zresztą, taka segregacja, oparta na pochodzeniu, wniosła by zamęt w stosunki ludzkie i byłaby nieobliczalną w swych skutkach.

Szczęściem, że to się nigdy nie stanie, gdyż, w dalszej konsekwencji, do swojego Darwinowskiego prototypu — nigdy nie powrócimy.

Narodowość swoją każda odrębna jednostka ma niezaprzeczone prawo określić, bez względu na to, kim byli jej przodkowie. Pozbyć się duszy — nie tak łatwo.

Nie pójdziemy więc ani według aspiracji panów asymilatorów, ani za radą pana C. Jankowskiego do skupiania się na gruncie etnograficznym.

Pozostaniemy na naszych śmieciach tem, czem byliśmy i jesteśmy.

Tadeusz Osiński.

LISTY OTWARTE.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zdarzają się czasem w życiu wypadki przyjemne, z których wrażenie długo pozostaje i wśród szarzyzny życia jest jakimś jasnym punktem, do którego myśl chętnie się zwraca.

Takiego właśnie nad wyraz miłego uczucia doznałam wczoraj, gdy otrzymawszy „Kłosy Ukraińskie“ i przeczytawszy je od początku do końca, powiedziałam sobie, że to właśnie to pismo, które nam tu było tak bardzo potrzebnem! Niech Pan Bóg błogosławi i pomaga ludziom, którzy tę potrzebę zrozumieli — i dali jej wyraz w tak pięknej i sympatycznej formie.

Pragnę gorąco i życzę całem sercem, by „Kłosy Ukraińskie“ jak najbujniej wśród nas wszystkich tu rosły, a rozsiewając ziarno dobra i miłości kraju naszego ukochanego, a tak pięknego, stały się wśród nas zadatkiem lepszego jaśniejszego jutra.

A prawdziwie jaśniej i odważniej patrzy się w tę przyszłość — gdy się czuje dobrą wolę i szczerą pracę około podniesienia Ducha wśród narodu.

Nawoływanie do większej spójni między nami a ludem naszym ukraińskim, jest tak bardzo wyrazem tego, co zawsze tak pragnę, że z serdecznem uczuciem wdzięczności muszę zakończyć słowami, które w obecnej porze roku często wśród pól naszych szerokich rozbrzmiewają, na widok siewców rzucających ziarno w ziemię: — „Pomahaj Boże“!

Marja z Grocholskich Sobańska.

Szumówka na Podolu, 22 marca 1914 r.

▫ ▫ ▫

Szanowny Panie Redaktorze!

„Pro aris et focis“.
—„W obronie ołtarzy
i ognisk rodzinnych“.—

„...Lecz Ty mi kazałeś strzedz przybytku Twego, więc mi odejść nie wolno. Tyś mnie na straży postawił, więc wlałeś we mnie moc Twoją i wiem to, Panie, i czuję...“

W te słowy przemawiał przesławny ks. Kordecki do strachem zdjętych niewiast i niewieściuchów, domagających się od niego oddania Jasnej Góry Szwedom.

W te, a nie inne, słowa wypada nam, dzieciom ukrainnych kresów, odpowiedzieć tym, co domagają się likwidowania kresów i świadomego ich wyrzeczenia się.

Nie cytowałbym natchnionych słów ks. Kordeckiego, które radbym widzieć na ustach każdego obywatela kresowego, gdyby nie smutne przekonanie się, że wśród tych ostatnich dość często dają się słyszeć, co prawda nieliczne, pojedyńcze głosy, nadające im smutne prawo zaciągnięcia pod buńczuk p. Czesława Jankowskiego.

Pomimo aż nazbyt wyraźnej dezercji tych ostatnich z pod znaków kresowych, pomimo jawnego ich sprzeniewierzenia się ideom kresowym, nie chciałby atoli, jako żywo, widzieć w nich zdecydowanych Wrzeszczowiczów, — pragnąłbym raczej, by się stawszy nieświadomie lub nieoględnie szwedzkimi Kmicicami, potrafili też świadomie stać się Jasnogórskimi Babiniczami.

Zwłaszcza dzisiaj, gdy kresy ukrainne więcej niż kiedy potrzebują poparcia świadomego i jednomyślnego zespojenia rozproszonych, na marne nieraz idących sił—w prasie, w akcji społecznej i na placówkach, w udziale nam przypadłych!

Zwłaszcza dzisiaj, gdy na złotodajnych, miodem i mlekiem płynących, kresach ukrainnych, niemal wszystkie placówki, bądź religijne, bądź narodowo-społeczne, łachmanami świecą i suchotniczem zgaśnięciem grożą!

Zwłaszcza dzisiaj, gdy najbardziej ideowe nasze sztandary chwiać się poczynają w przemęczonych dłoniach dzielniejszych kresowców!

Ku nim pośpieszyć nam trzeba z akcją czynną, osobistą, popartą groszem ofiarnym.

Niech o tem pomną:

a) ci, co nie chcą się wcale zaprządz do prac społecznych na kresach;

b) ci, co przyjąwszy na się zaszczytne, mocno tytułowane, honorowe stanowiska społeczne, obok wykazania łaskawego przyzwolenia na przyjęcie ich, nic nadto dla nich do dziś nie wyświadczyli;

c) ci, co szlachetnie łożąc większe lub mniejsze ofiary pieniężne na cele, zawsze nam drogie, jednocześnie nic nie dali na cele, nie mniej drogie i naglące — miejscowe;

d) ci, co wspierając instytucje społe-

czne, jednocześnie zapominają, że dzisiaj kościoły na kresach, zwłaszcza w miejscach cudami wsławionych, jak Brahiłów, Berdyczów, Latyczów, bez ich ofiarnej pomocy nie spełnią swego ideowego przeznaczenia.

Z pełności darów ukrainnych, karmiąc siebie i drogich sercu braci rozproszonych, karmcie jednocześnie upośledzonych domowników kresowych.

Sebe, hostej nakormyła,
Ditej hołodnymy łyszyła...

Kanonik ks. Feliks Sznarbachowski.
Brahiłów na Podolu, 25 marca 1914 r.

Ś. p. Józef Chełmoński.

Dnia 6 kwietnia w skromnem zaciszu wiejskiem, w Kuklówce, pod Grodziskiem, zmarł wielki malarz polski Józef Chełmoński. Dnia 8 tegoż miesiąca zwłoki mistrza złożono na cmentarzu parafialnego kościoła w Ojrzanowie.

Czem był Chełmoński, jako malarz w stosunku do całokształtu naszej twórczości w tym zakresie, to historja sztuki skreśli kiedyś bardziej stanowczo. Z większego oddalenia perspektywicznego będzie można orzec ściślej i dokładniej, jakie stanowisko zajął ten wybitny malarz-indywidualista w dziejach naszej kultury estetycznej, i jakie na tem polu położył zasługi. Dziś—pisze „Tygodnik Polski“ — pod świeżem wrażeniem żałobnego ciosu, wszyscy niemal bez zastrzeżeń i jednogłośnie godzą się, że ubywa nam ze współczesnych malarzy talent najpotężniejszy, najwybitniejsza w dobie ostatniej indywidualność twórcza, że malarstwo polskie przez śmierć Józefa Chełmońskiego ponosi stratę najboleśniejszą.

Że Chełmoński, z przyrodzenia obdarzony był bardzo niepospolitym, wprost fenomenalnym talentem plastyka i kolorysty, że talent ten sumiennemi studjami doprowadził do poziomu dzisiejszych wymagań kulturalnych pod względem wyrobienia zawodowego, że tem samem, jako malarz, bezwzględnie biorąc, zajął bardzo wysokie stanowisko w kierunku sztuki ogólno ludzkiej, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dla nas jednak twórczość jego ma jeszcze znaczenie szczególniejsze. Chełmoński posiadał niezmiernie głębokie odczucie polskości we wszystkich jej przejawach—natury, człowieka, obyczaju, sentymentu; że zaś w malarstwie swojem zachował niesłychaną, niezmąconą żadnemi ubocznemi tendencjami estetycznemi bezpośredniość wyrazu, że był w przedstawieniu tych rzeczy szczególniej umiłowanych najzupełniej swoisty, przedstawienie to zachowało pewne znamienne cechy swoistości, czyli, ze względu na polskość swego twórcy, — najistotniej polskie.

Chełmoński był naprawdę *naszym malarzem narodowym.* Nikt, jak on, nie odczuwał, a przynajmniej z równem odczuciem nie namalował duszy polskiego pejzażu ze wszystkiemi najsubtelniejszemi właściwościami charakterystycznemi jego flory, fauny, powietrza, światła, temperatury, a także ze wszystkiemi cechami etnograficznemi jego, że tak po malarsku nazwiemy, sztafażu. O, bo Chełmoński, przedziwnie i bardzo po swojemu w dziełach swoich przedstawił duszę ludzi—chłopa, czy szlachcica, myśliwego czy rybaka, pastucha, pasiecznika, dojeżdżacza, baby wiejskiej, dzieciaka...

Odchodzi od nas, doprawdy, wielki malarz, wielki artysta i najrdzenniej, najistotniej polski.

Józef Chełmoński urodził się w Boczkach pod Warszawą, d. 6 listopada 1850 roku. Początkowo był uczniem Gersona w warszawskiej szkole rysunkowej i w jego pracowni prywatnej, potem zaś w latach 1873 i 1874 w Mouachjum, pod prof. Anschützem i Wagnerem; zdaje się jednak, że poza wskazówkami czysto technicznej natury, profesorom swoim nie zawdzięcza nic więcej. Pozostał sobą — przykładnym uczniem natury i wiernym jej tłómaczem.

T. J.

PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.

Polonia

Revue Hebdomadaire Polonaise.

Pod takim tytułem od Nowego Roku wychodzi w Paryżu tygodnik polski, pod naczelną redakcją znanego romansopisarza, Wacława Gąsiorowskiego.

„Polonia“ ulokowała się przy ulicy Notre Dame de Lorette № 10 — i wypuściła dotąd 10 numerów, pełnych treści, — z szeregiem wybornych artykułów pisanych po francusku (dla Francuzów) oraz mnóstwem artykułów, wiadomości i notatek, pisanych po polsku (dla Polaków, zamieszkałych na Zachodzie).

Z kart „Polonii“ bije tętno mocnych ukochań, szczerego zapału, wielkiej troski o przyszłość i dobre imię Polski.

Z jednym z naczelnych artykułów „Polonii“ zaznajamiamy poniżej naszych czytelników. Tytuł artykułu: „Klątwa niemocy“.

Klątwą naszego społeczeństwa jest niemoc. Stać nas jeno na wybuchy, na łzy rozrzewnienia, w momentach rocznic dziejowych. Jesteśmy, jak te olbrzymie zwoje ogniów sztucznych, które choć wypełnione po brzegi prochem i saletrą, choć zdolne, za lada iskrą, mroki bezgwiezdnej nocy rozedrzeć, olśnić tłumy, łunę najgorętszą na niebie rozpalić, a przecież nie są władne sprostać w pracy i ciągłości światełku ogarka. Ból targa naszemi piersiami w żałobne dni świąteczne. Poglądamy w zwierciadło naszej duszy narodowej i widzimy ją obnażoną; ani jedna jej ułomność nie może się skryć przed rozbłyszczonem naszych oczu spojrzeniem.

Tak na dni świąteczne.

Gdy przecież wraca godzina szarzyzny, gdy umilknie głos dzwonów uroczystych, porywy gasną, przysięgi wczorajsze przestają nas obowiązywać, niemoc obejmuje znów swe władanie. Poszept zaś wykrętny kołysze sumienia.

I cóż my, ludzie słabi, przeciętni, skazani na powszednią wędrówkę, zdolni jesteśmy uczynić? Hen, dawniej, w odległej czasów pomroce, byli bohaterowie, byli wielcy ojcowie Ojczyzny, rycerze i męczennicy, statyści i budziciele. Oni wiedli, oni prowadzili, za ich to sprawą promieniał Wiek Złoty, za ich to sprawą kurhany ofiarne zielenią się, znaczą granice minionych dni chwały.

I poszept ten usypia poczucie obywatelskie i poszept ten wystudza serca, mrozi krew organizmu polskiego.

Życie człowieka składa się jedno z drobiazgów. Zespolenie tych jednostkowych drobiazgów wytwarza dopiero czyn społeczny, wiedzie bezpośrednio do wielkich zamierzeń, potęgą i wiarą przejmuje tchnienie narodu.

Nie wodzów nam braknie, lecz żołnierzów, nie wybrańców, nie genjuszów, ale pracy i wytrwałości tych ziarnek, tych kółeczek maleńkich a niewidocznych, tych ciałek drobnych, które w życiu ludówsą krwią i siłą.

Wielkie zdrady, wielkie przeniewierstwa naród może przetrwać, może im stawić czoło, musi atoli zapaść w omdlenie w

obliczu małych kompromisów, niewinnych napozór ustępstw. Te małe kompromisy nasze pochodzą z niemocy.

Miast wiary w zawołanie dwudziestopięciomiljonowego narodu, rzewna skarga, okazywanie swych ran obcym a obojętnym. Miast godności — błagalnie wyciągnięte ręce o słowo litości we przechodnia.

Mamy skarby nad skarbami tradycji, mamy krynice myśli, bijące ku nam ożywcze strumienia, mamy ziemi szmat, kośćiami naszych bojowników użyzniony. A jednak, od lat stu z górą, — piołun jest ulubionym niemocy naszej nektarem. Imponują nam nawet plemiona, szaraki rozwoju cywilizacyjnego: bo imponuje nam przedewszystkiem nikła marność, bo, zapatrzeni w winy ojców, własnych nie postrzegamy win.

Nasza przyszłość, słoneczny dzień naszego jutra — leży u podstaw narodu. Gdy do tego dnia słonecznego zatęskni drobny pracownik, ten przeciętny, niepozorny obywatel, gdy to pragnienie zawrze w skromnem kolisku swego otoczenia, gdy imienia swego dowodzić zacznie w każdej, najdrobniejszej chwili, wówczas to słońce upragnione wzejdzie i wówczas ta straszna klątwa niemocy zcześnie na wieki

Literatura a życie.

Literatura polska wogóle, a powieść w szczególności — pisze warszawski „Przegląd Codzienny“ — od pierwszych lat bieżącego wieku zatraciła bezpośredni kontakt z życiem codziennem. Jeżeli zdanie to wyda się bluźnierstwem krytykowi literackiemu czy artystycznemu — bez kwestji wolno się wyrazić w ten sposób społecznikowi. Przypomnijmy sobie tylko owe czasy, kiedy we wszystkich salonach, we wszystkich kółkach, we wszystkich towarzystwach, gdzie się czyta i komentuje polskie książki, prowadziło się namiętne i nieskończone dyskusje na temat „Sprawy Dołęgi“, lub roztrząsało się tragizm dr. Judyma w „Ludziach bezdomnych“.

Wszystko to były książki, pisane przed rokiem 1904. Nie mówiąc o „Dniach politycznych“ Weyssenhofa, pojawiła się od tego czasu „Rewolucja“ Tetmajera, „Jaskółka“ Daniłowskiego i inne. Każda z tych książek zaczepiała o tematy społeczne, przy czytaniu książki danej, zdawałoby się, najżywotniejsze, ale żadna z nich nie wywoływała już namiętnycb i powszechnie interesujących dyskusji.

Jest starą prawdą, że „inter arma silent musae“. W kraju, w oczach żyjących ludzi, codzień, co godzina prawie, na każdym kroku, działy się rzeczy, które były fantastyczniejsze, niż najbujniejsza fantazja, które groteskowością sytuacji pociągały bardziej, niż mógł pociągnąć najoryginalniejszy talent poetycki. Ale równocześnie przemawiały one bardziej do duszy ogółu, niż zdołał przemówić każdy z dokonanych poetyckich wysiłków. Wyniki były. Chciano ująć w syntetyczną formę to, co się działo w kraju. Dość wskazać pod tym względem na „Rewolucję“ Tetmajera. Usiłowano sięgnąć do głębi psychologicznej nawiedzających kraj zjawisk, wytłumaczyć ich źródło, wyjaśnić ich motywy. Ale żaden z tych wysiłków nie znalazł odpowiedniego odgłosu w sercach ogółu.

Czy można za to winić literaturę, czy ogół? Nie mamy zamiaru zgłębiać na tem miejscu filozoficznego stosunku między literaturą a życiem. Chodzi nam o co innego. Konopnicka w swojem znakomitem studjum o Mickiewiczu świetnie wytłumaczyła, dlaczego autor „Dziadów“ i „Pana Tadeusza“ zdobył w sercach wszystkich i w uczuciu powszechnem godność pierwszego wieszcza w narodzie. Znalazł się mianowicie w stosunku do narodu w położeniu dwu kół współśrodkowych. Zogniskował w sobie wszystkie uczucia narodu. Ale poeta musi zadrasnąć o najbardziej rozegraną w danej chwili strunę w duszy społeczeństwa. Tylko wtedy może się spodziewać odpowiedniego odgłosu.

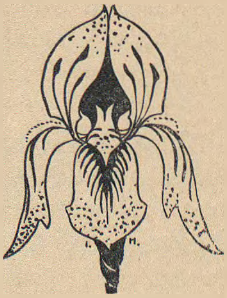
Najoczywiściej nie odpowiedziała temu warunkowi poezja lat rewolucyjnych. Próby syntezy były za słabe i za powierzchowne. Równocześnie zaś był to moment przełomowy w wzajemnym stosunku literatury do publicznego życia.

Gdy literatura oddaje się autosekcyjnym kontemplacjom i pragnie zrozumieć przyczyny nadziei i zawodów, pragnie znaleźć punkt oparcia dla nowych wysiłków i punkt wyjścia dla nowej pracy, społeczeństwo stara się zapomnieć o przeżytych złudzeniach. Drogi literatury i społeczeństwa poczynają prowadzić w różnych kierunkach i rozchodzą się coraz bardziej. Społeczeństwo przestaje rozumieć swoich najznakomitszych pisarzy, a ci nie mogą nakłonić i przeciągnąć społeczeństwa na swoją wiarę. Dzieje się wreszcie, że ludzie, znajdujący popularny posłach w szerokich masach, ośmielają się publicznie pisarzy, którzy są chlubą polskiej współczesnej literatury, stawiać poza nawiasem społeczeństwa, a nie wywołuje to odpowiedniego protestu.

Czyj lot się obniżył? Autorów czy środowiska, które pisarzy wyklina ze swego grona? Nie może być co do tego dwu zdań. Wyklętych pisarzy zastępują poeci ad hoc, o których najzdolniejszy chyba z współczesnych krytyków polskich, Adam Grzymała Siedlecki, pisał, że zdaje się im, iż społeczeństwo składa się z gimnazjalnych uczniów, których oni odpowiednio uczyć muszą. Wykładają im w dramatach swoich rzeczy, które się znajdują w podręcznikach szkolnych i nie rozumieją zupełnie ewolucji, przez które społeczeństwo przeszło.

Ale tem samem wytwarza się sytuacja tragiczna. Społeczeństwo zgubiło swoją literaturę, zatraciło swój najcenniejszy drogowskaz. Ludzi, piszących piórem, maczanem w krwi serdecznej, zastąpił reporter, niekiedy dramatyzujący; miejsce dr. Judyma — zajęła uliczna sensacja. Nie spotykamy się więcej z refleksjami, które na temat otaczających go stosunków czynił w „Lalce“ Prus.

Rozbrat między literaturą a życiem społeczeństwa, rosnący z dnia na dzień, potęguje tem samem tragizm sytuacji. Społeczeństwo nie ma się na czem kształcić. Przestaje szukać prawdy.



Odczyty prof. W. Lutosławskiego w Kijowie.

I.

O okultyzmie.

Ostatniemi czasy zaczął się szerzyć tak zwany ezoteryzm, czyli okkultyzm, który jakoby daje moc nad bliźnimi, nad przyrodą. Dwie są tezy okkultyzmu: tajemna wiedza i wtajemniczenie.

Okkultyzm należy odróżniać od kilku dziedzin, mających pewną z nim styczność. Nie ma on nic wspólnego z tak zwaną metapsychiką (definicja prof. Lutosławskiego, pierwszy raz spotykana w „Wykładach Jagiellońskich“, przyjęta przez Karola Richet'a). Główną odróżniającą cechą metapsychiki od okkultyzmu jest to, że metapsychika jest nauką jawną.

Również hypnotyzm i magnetyzm stają się dziedziną nauki *objektywnej* i chociaż służyły okkultyzmowi, jednak do okkultyzmu nie należą.

Hypnotyzm, suggestja nie jest żadnym cudem, choćby urastał do granic nadzwyczajnych.

Spirytyzm, czyli naukowo medjumizm, który po hypnotyzmie zajął stanowisko dość pewne, — także różni się od okkultyzmu.

Trzeci rząd zjawisk z dziedziny metapsychiki to zakres telepatji, — wpływu jednego człowieka na drugiego, niezależnie od przestrzeni.

Zastanawiając się nad tezami okkultyzmu, prelegent przychodzi do wniosku, że niemożliwa jest żadna wiedza tajemna, żadne wtajemniczenie. Wiedza to nie gotowa formuła, przekazywana tradycyjnie, lecz wynik pracy myśli

Mówiąc o stosunku okkultyzmu do religji, profesor nadmienił, że w okkultyzmie niema tej autonomji sumienia indywidualnego, która cechuje chrześcijan. Starożytny Wschód nie znał niezależności jednostki.

Nieprawdą jest, co twierdzą okkultyści, jakoby Chrystus był wysłańcem większych od Niego mistrzów. Chrystus sam był największym z ludzi. Ciekawem jest pod tym względem dzieło Schure'go „O wielkich inicjatorach“. Stosunek wielkich myślicieli do ezoteryzmu również był negatywny. Platon nie uznawał ezoteryzmu. Ciekawą jest powieść Peladan'a na temat wiedzy tajemnej.

Ludzie, posiadający prawdziwie objektywną mądrość, z okkultyzmem nie mieli nic wspólnego (Hegel, Leibnitz, Renouvier, Cieszkowski).

Święci Kościoła swoją cudotwórczość nie przypisywali wiedzy tajemnej. Zródło swej siły i mocy upatrywali w łasce Bożej (o łasce Bożej obszerniej—w 3-cim odczycie).

Należy odróżniać prawdziwą moc i siłę od komedji mocy i siły, jaką stanowi okkultyzm.

Geneza okkultyzmu tkwi w niepohamowanej żądzy nieograniczonej wiedzy i władzy.

Jeżeli chodzi o wiedzę, to ją można zdobyć mozolną pracą umysłową; jeżeli o moc—to ascezą, pokorą.

Okkultyzm jest pewnym wydziałem całej tej akcji, którą prowadzą rozmaite bractwa tajne, z których najgłośniejsi są masoni.

Ażeby mieć miarę wartości całej tej akcji, dość przypomnieć panią Bisent, która kultywuje 11-letniego chłopca, jako przyszłego Mesjasza.

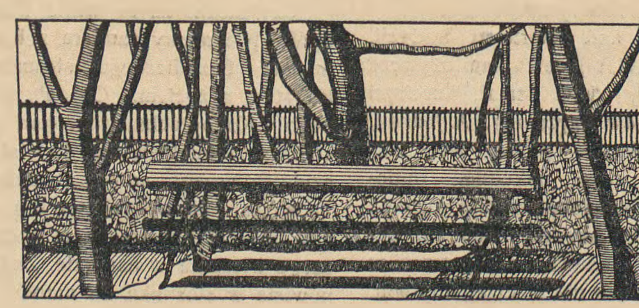
Małej wartości są te broszurki, które za duże pieniądze obiecują mały wysiłek, wiodący do potęgi, do genjuszu.

Trzeba się liczyć z czynnikiem nieobliczalnym — natchnieniem, niezależnym od woli człowieka. Żaden z wielkich natchnionych ludzi nie powiedział, że natchnienie od jego woli zależy. Ułatwić sobie natchnienie — to zależy od woli ludzkiej. Natchnienie naukowe nie zależy od nagromadzonego doświadczenia.

(Z tem się możemy zgodzić z pewnemi jednak orzeczeniami; sądzę, że każde natchnienie wynalazców potrzebowało pewnych *precedensów* dla swego zjawienia się).

Prelegent, potępiając wszelkie pretensje do ezoteryzmu, przytoczył przykład misterji eloezyjskich, o których cała wiedza filologiczna dotąd nic nie zdołała powiedzieć.

Stanisław Gliński.



Winieta Kazimiery Adamskiej

Mimo, że wiosna...

Mimo, że wiosna — taki dzień dziś szary,
Deszcz mży jesienny, wiatr za oknem płacze,
Z daleka idą poszumy i gwary:
Jakieś wśród deszczu ptaki mkną tułacze.

W mej duszy jesień — i na dworze słota,
Tak mi brak wiosny i złotego słońca,
Nić moich marzeń bez przerwy się mota,
A dusza moja tak smutna i drżąca.

I nie wiem czemu. Wszak wszystko to minie,
Przecie się chwila ma zbliża radosna,
I w jakiejś cudnej narodzin godzinie
Przyjdzie do duszy mej prawdziwa wiosna.

Kijów, 27 marca 1914. *Andrzej Porębski*

O UŚWIADOMIENIU MUZYCZNEM.

Ze wszystkich sztuk pięknych muzyka jest niewątpliwie najwięcej rozpowszechnioną, najogólniej uprawianą, posiadającą najliczniejszych adeptów i miłośników. Zdawałoby się, że wynikiem tak szerokiej popularności winny być pojęcia o sztuce, jakkolwiek pobieżne, lecz jasne, dające możność odróżnienia szychu od prawdziwego, szczerego złota. W żadnej atoli dziedzinie nie spotykamy się chyba z tylu fałszywymi, a nawet zgoła opacznymi sądami, sięgającymi niekiedy granic komizmu. Ogół, uczęszczający na operę, słuchający koncertów, dbający o nauczenie cór swoich mozolnego kunsztu mordowania fortepjanów, niema najmniejszego pojęcia o tem, że muzyka, ze swojem tajemniczem, nieziemskiem pochodzeniem, ta, wedle określenia Schumann'a, „sierota, której rodziców nikt wymienić nie zdołał“, wspiera się jednak na podstawach niewzruszonych, jest nauką niesłychanie trudną i rozległą, a idealna jej postać, o ile zwycięsko chce kroczyć w daleką jasność, winna występować w rynsztunku zasad o żelaznej konsekwencji.

Jeśli elementarna teorja muzyczna jest dla ogromnej większości tak zwanej inteligencji księgą zamkniętą na siedm pieczęci, to nie lepiej, a bodaj nawet gorzej się dzieje z historją muzyki. Panuje tu najkompletniejsza ignorancja. Wobec człowieka z wyższem wykształceniem (który to tytuł w naszem towarzystwie przysługuje każdemu, kto się otarł o mury uniwersyteckie), wobec jego małżonki, również wysoce wy-

kształconej, albowiem jest prawowitą połową wyżej pomienionego, można z powodzeniem pleść koszałki opałki o muzyce, a nie poznają się na tem. Nasuwa się samo przez się pytanie: jakie są powody tak małego, że aż prawie żadnego uświadomienia w tym kierunku? Czy ogólny brak zainteresowania danym przedmiotem? Po części tak. Ale, powtarzam to z naciskiem, tylko po części.

Odpowiedzmy szczerze: skąd czerpać ma wskazówki czytelnik (zaznaczam, że mam tu na myśli wyłącznie czytelnika polskiego), głębiej się interesujący muzyką? Czy z umieszczanych w czasopismach sprawozdań? Pomijając, że oceny takie, z natury rzeczy, muszą być zbyt pobieżne, wyznajmy, iż Zoile muzyczni poczynają sobie nieraz tak uczenie a zawile, tak górnie i chmurnie, że nietylko ludzie nieprzygotowani, ale i posiadający niejakie wiadomości z dziedziny historji i krytyki muzycznej, z trudem zdołają się połapać w tej powodzi frazesów. Rzecz oczywista, że takie ujmowanie przedmiotu przez recenzentów może tylko odstręczyć publiczność, czego wynikiem jest, że się najczęściej sprawozdań muzycznych nie czyta, albo też, co gorsza, przeczytawszy, zwiększa chaos myślowy.

Idźmy dalej. Oto kogoś ulotne, dorywcze wiadomości nie zadawalniają. Pragnie systematyczniejszego, gruntowniejszego zapoznania się z przebiegiem żywota i działalnością poszczególnych kompozytorów. Otóż taki żądny wiedzy osobnik, o ile nie posiada znajomości obcych języków (zwłaszcza niemieckiego), znajdzie się w kłopocie niemałym, nasza bowiem literatura, traktująca o muzyce, jest nad wyraz ubogą. Ruch żywszy na polu muzykologji u nas datuje dopiero od lat kilku, zapoczątkowany zaś został wspaniale przez profesora Aleksandra Polińskiego, którego znakomite dzieło „Dzieje muzyki polskiej w zarysie“, wydane w roku 1907, jest owocem olbrzymiej erudycji i benedyktyńskiej iście pracy. Z kompozytorów naszych, obszerniejszych monografij doczekał się jedynie Szopen. Badaniom nad życiem i twórczością największego polskiego muzyka poświęcali się: przed kilkunastu laty Karasowski, w ostatnich zaś czasach—Hoesick i Henryk Opieński, którego wyborna



Rysunek Cz. B. Jankowskiego.

książka szeroko zasłynęła i poza granicami kraju.

Drugi natomiast typowy przedstawiciel ducha polskiego w muzyce, natchniony Stanisław Moniuszko, jest o wiele mniej szczęśliwy: o tym, „którego każda melodja kołacze do naszej duszy, otwiera ją i znajduje gościnność, jak brat, jak krewny, jakby dawny znajomy“, nie posiadamy żadnej obszerniejszej, źródłowej pracy (do czasów ostatnich mieliśmy o Moniuszce tylko książeczkę Walickiego i cudacką broszurkę Wilczyńskiego).

Wybitne miejsce śród pracowników na niwie literacko-muzycznej zajmuje Zdzisław Jachimecki, który w krótkim przeciągu czasu zaszczytnie zaznaczył swoją działalność wydaniem książek: „Ryszard Wagner“, „Józef Haydn“ i „O wpływach włoskich w muzyce polskiej“. Jeśli do dzieł, wymienionych poprzednio, dodamy jeszcze H. Opieńskiego „Dzieje muzyki powszechnej“ i „Zarys charakterystyki Paderewskiego“, to wyliczymy podobno cały niemal nasz dorobek na polu muzykologji. Dorobek ten, jakościowo wielce pokaźny, w przeważnej części swojej wymaga od czytelnika pewnego przygotowania i musi być poprzedzony przez wydawnictwa jaknajdostępniejsze i, odpowiednio do powszechnego ubóstwa, obok powszechnej chęci czytania,—jaknajtańsze.

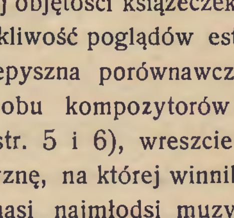
Dokonać czegoś podobnego dla literatury polskiej, zaradzając naglącej potrzebie, usiłuje obecnie zasłużona firma Leona Idzikowskiego w Kijowie. Przedsiębiorąc wydawnictwo życiorysów najsłynniejszych muzyków, swojskich i obcych, pomieniona firma raz jeszcze stwierdza w chlubny sposób, iż jest prawdziwym rozsadnikiem kultury na kresach.

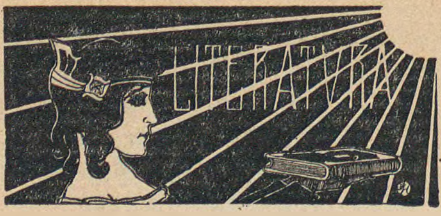
Dotąd się ukazały dwa tomiki: „Moniuszko“ i „Szopen“—pióra profesora A. Polińskiego. Trudno o lepszy początek: hołd największym polskim kompozytorom oddany został przez najpoważniejszego i najuczeńszego z muzycznych krytyków polskich.

Wdawać się w ocenę pracy czcigodnego profesora nie mnie przystoi. Pozwolę sobie jedynie zwrócić uwagę czytających na podziw budzącą jasność wykładu, bogactwo treści, pomimo szczupłej objętości książeczek, świetność i przenikliwość poglądów estetycznych, np. przepyszna porównawcza charakterystyka obu kompozytorów („Moniuszko“, str. 5 i 6), wreszcie na piękną polszczyznę, na której winniby się wzorować nasi najmłodsi muzykologowie, zwłaszcza zaś ci, którzy, w ustawicznej pogoni za „nowemi wartościami“, zapominają nieraz o podstawowych zasadach polskiej składni.

Zewnętrzna szata obu dziełek jest tego rodzaju, że potrafi zadowolnić nawet bardzo wybredne wymagania.

Kijów. *St. B.*





Adolf Nowaczyński. Apostoł Tanga (Amulet). Komedja w jednym akcie. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego, Kijów i Warszawa, 1914.

Zasłużona firma Leona Idzikowskiego w Kijowie w ostatnich czasach wypuszcza coraz więcej wydawnictw książkowych, których wybór jest przeważnie nader staranny. Najnowszem wydawnictwem L. Idzikowskiego jest komedja w 1 akcie Adolfa Nowaczyńskiego, p. t. „Apostoł Tanga". Rzecz dzieje się w „malinowym gabinecie" pierwszorzędnego hotelu w Warszawie. W akcji biorą udział: diva operetkowa, prima-ballerina, lekarz, fabrykant, inżynier i dwaj kelnerzy. Jak zawsze u Nowaczyńskiego, nie akcja, lecz świetny, iskrzący się dowcipem i ironją, a niekiedy pikantny djalog — stanowi główną zaletę najnowszej jego komedyjki. Wydanie staranne wyszło z tłoczni Drukarni Polskiej w Kijowie.

Stefan Barszczewski. „Czerwony Mesjasz". Ze wspomnień włóczęgi. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Książkę wypełnia kilkanaście opowiadań z podróży autora po Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki i południowych jej rzeczypospolitych. Odtwarza on w nich barwnie na tle ulic i zaułków miejskich, szynków i kawiarni, oraz wspaniałych krajobrazów dziewiczej przyrody postaci współziomków emigrantów, należących do ludu i inteligencji, niekiedy ujemnych i spodlonych, niekiedy zaś szlachetnych, a nawet wzniosłych, oraz charakteryzuje wiernie wybitniejsze typy wygasających pokoleń czerwonoskórych Indjan, tępionych w imię cywilizacji ogniem i mieczem przez anglosaskich, hiszpańskich i portugalskich osadników. Opowiadania te czytają się z zajęciem, kreślone są bowiem ładnie pod wrażeniem świeżych wspomnień, wyrytych głęboko w pamięci wędrowca.

▫ ▫ ▫

Z „Salonu" kijowskiego.

W kijowskim Salonie Artystycznym (przy ul. Kreszczatyk № 58) oczekiwana jest w tych dniach zmiana obrazów.

W dotychczasowym komplecie najwybitniejsze miejsce zajmują płótna Władysława Galimskiego, który z klasyka-akademisty przedzierżgnął się w pleinair'żystę, świetnie odczuwającego grę barw i światła. Krajobraz Ukrainy—to najbardziej ulubiony temat Galimskiego. I mało kto, doprawdy, tak dziś odczuwa przyrodę naszych kresów, jak właśnie Galimski, zwłaszcza w swych drobnych, bezpośrednich studjach.

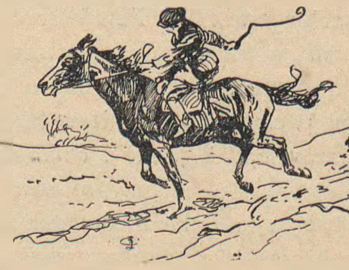
Bardzo nastrojowo, posępnie nieco, ale z dużem poczuciem powietrza i barw, namalował swoje studja p. Józef Grein, młody i bardzo utalentowany artysta. Przed jego płótnami widz mimowoli musi się zadumać, a w duszy musi mu zagrać jakaś nieuchwytna nutka smutku.

Barwne są, jak zawsze, kolorowe i swojskie—„obrazki ukraińsko-podolskie" p. Eugenjusza Wrzeszcza. Bardzo interesujące studja wystawił p. Buraczek. Ogromnie barwne w kolorycie są „notatki" p. Romanowa. W obrazach pani Krüger-Prachowej widać dużo rozmachu, dużo swobody - ale, kto wie, czy jej dawne prace, wyjątkowo subtelne w dziedzinie malowania zwierząt, nie były bardziej cenne. Młody p. Jozewski jest jeszcze zagadką — ale zagadką dobrze zapowiadającą się na przyszłość.

O innych malarzach, eksponujących w „Salonie" kijowskim, napiszemy innym razem, gdy się z ich indywidualnością artystyczną bliżej zapoznamy.

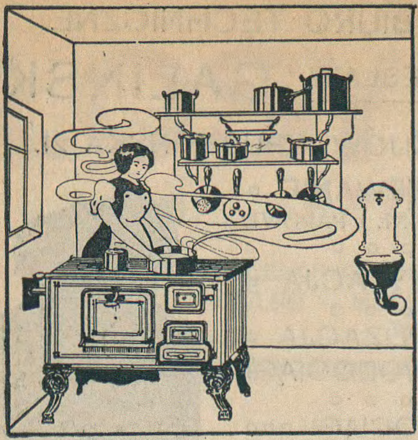
Młodemu „Salonowi", starannie urządzonemu, życzymy szczerze powodzenia.

(?)



KLISZE DLA „KŁOSÓW UKRAIŃSKICH" WYKONANE w ZAKŁADZIE „GRAFIK" w KIJOWIE (W. KRASNOSIELSKIEGO).

NAKŁADEM KIJOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.
Redaktor i wydawca: Jan Ursyn-Zamarajew. Czcionkami Drukarni Polskiej w Kijowie.



MAGAZYN METALOWYCH WYROBÓW

N. DIECHTIERIEW

Kijów, Kreszczatyk 50, Tel. 5-67.

PROPONUJE W WIELKIM WYBORZE: **Samowary** lepsz. fabr. MASZYNKI DO KAWY, maszynki do mięsa, maszynki do ciasta, wyżymaczki, magle pokojowe, maszynki do lodów, łyżwy dla Skating Ringu, wagi pokojowe, żelazka wszystkich rodzajów, maślnice. Szczotki mechaniczne do czyszczenia dywanów. Naczynia kuchenne, niklowe fabryki **Artur Krupp,** emaliowane, aluminiowe i miedziane.

WYBORNY PODRĘCZNIK DLA GOSPODYŃ

POD TYTUŁEM 3440

Kucharka Szlachecka

ułożona przez M. MARCISZEWSKĄ.

Doskonała ta książka zawiera około 3000 przepisów kuchennych, spiżarnianych, domowo-gospodarskich i toaletowych, łatwym sposobem opisanych i opartych na długoletniem doświadczeniu i POTRZEBACH NASZEJ KUCHNI. Prócz tego zebrane są dyspozycje obiadów na cały rok, wszelkiego rodzaju MENU na uroczystości i zebrania domowe. PIECZENIE CIAST WIELKANOCNYCH

oraz przyrządzanie konfitur oryginalnym sposobem kijowskim.

O zaletach tej książki świadczy już 5-e wydanie poprawione i uzupełnione wieloma dodatkami.

Cena Rb. **1.80,** w kart. Rb. **2,** w praktycz. płóciennej. opr. Rb. **2.40.**

NAKŁAD LEONA IDZIKOWSKIEGO W KIJOWIE.

DRUKARNIA POLSKA

KIJÓW, KRESZCZATYK 38.

TELEFON Nr. 16-72.

WYKONUJE WSZELKIE ROBOTY W ZAKRES DRUKARSTWA WCHODZĄCE.

Jedyny w Kijowie

Polski Magazyn Ubiorów Dziecinnych

K. Majkowska, Prorezna № 18

otrzymał olbrzymi wybór ostatnich nowości: palta, sukienki i ubranka dla dziewczynek i chłopczyków, kapelusze filcowe, rękawiczki zamszowe, kołnierzyki, pończochy, krawaty, paski, buciki, wyroby zakopiańskie i huculskie. Przyjmuje się obstalunki z materjałów własnych i powierzonych.

PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

W. MĘCZYŃSKIEGO W KIJOWIE

znajduje się w dawnym lokalu firmy W. WYSOCKIEGO (róg Kreszczatyku i Luterańskiej).

PRZYJMUJE ROBOTY FOTOGRAFICZNE, JAK W MIEŚCIE TAK I NA PROWINCJI. ZDJĘCIA TECHNICZNE, FABRYK, EKONOMJI. WYKONYWA FOTOGRAFJE NA NAJNOWSZYCH PAPIERACH: WĘGLOWYCH, GUMOWYCH, NA SZKLE — PORCELANIE I T. P.

ZAKŁAD W ŚWIĘTA I NIEDZIELE OTWARTY.

Zakłady mechaniczne

Pfluger i Steinert

w Niemczech.

SILNIKI SAMOCHODOWE

na benzynę i białą naftę z przyrządami do **piłowania** leśnych **materjałów** oraz **rżnięcia i rąbania drzewa.**



Główny przedstawiciel na Rosję **M. RUPNIEWSKI**

w Kijowie, Michałowska № 17-B, tel. 32-37.

SKŁAD, INSTYTUCKA № 3.

Amerykański Traktor

„Wadswort"



orze, sieje, kosi, wozi ciężary i pracuje jak stacjoner.

Domowe stacje elektr. „DETROIT" od 50 do 1000 lamp. Cena od 550 rb.— Silniki przenośne „DETROIT" od 2 do 20 sił Cena od 250 rb. Silniki dla łódek „DETROIT" od 2 do 80 k. sil. Cena od 200 rb. Silniki były wypróbowane w Inst. Politechn. Ces. Aleks. II przez Inż. Techn. Kosickiego.

Wyłączny Przed. na Rosję i Król. Polskie

A. MARKERT, Kijów, Prorezna 9. Tel. 33-16. Żądajcie katalogów.

Rolnik Ukraiński

Bezpłatny dodatek do „Kłosów Ukraińskich".

Redakcja i Administracja: Kijów, Michałowski zaułek 14.

Z OBRAD ROLNYCH.

Sposoby suszenia nasion buraczanych

(stosowane w Ozierjanach, czernihow. gub. w r. 1912).

Referat odczytany na zebraniu członków Tow. Wzaj. Pomocy Rolników i Leśników przez Aleksandra Grabowskiego. Spolszczył K. Bojarski.

Nasiona otrzymywałem ze zbioru roku 1912 z zawartością wody do 20%. Oddać kupcowi, a tem bardziej przechować takie nasiona było zupełnem niepodobieństwem, suszarni w miejscowych składach maszyn rolniczych nie było. Zarząd majątków, w których pracuję, obstalował suszarnię Ackermana № 4, lecz na otrzymanie jej trzeba było czekać cztery tygodnie. Specjalną zaś suszarnię dla nasion buraczanych, systemu fabryki Młoszewskiego w Kijowie, fabryka ta podjęła się wykończyć nie wcześniej jak za 7—8 tygodni.

Aby nie tracić drogiego czasu, urządzona była suszarnia w sposób następujący:

W czteropiętrowym domu dla robotników, na każdem piętrze były pobudowane z cegły niewielkie ogrzewające piece długie na $1^1/_2$ i wysokie na $1^1/_4$ arsz.; ciepłe powietrze i dym z pieców wchodziły do rur blaszanych o średnicy $3^1/_2$ werszków; rury te okalały lokal ponad ścianami, a końce ich wpuszczone były do komina. Dla pozbycia się wilgotnego powietrza wstawione zostały w sufity rury wyciągające powietrze. Piece opalano przez całą dobę i temperaturę utrzymywano około 40° R. Powierzchnia podłogi na każdem piętrze wynosiła 72 arsz. kw. Nasiona sypano po 40 pudów na każdem piętrze na podłogę i rozmieszczano w niewysokie grządki, szuflowane przez całą dobę, bez przerwy. W ten sposób w przeciągu jednej doby zdążono przesuszyć 160 pudów nasion. Zawartość wody w nasionach przy użyciu tego sposobu suszenia doprowadzona była przeciętnie do 13,87%, zdolności zaś kiełkowania nasiona nie traciły wcale. Niedogodność tego sposobu suszenia polega na tem głównie, iż do rur wchodzi nie tylko ogrzane powietrze, lecz i dym, wskutek czego rury wkrótce zanieczyszczają się sadzą i po 5—6 dniach pracy staje się niezbędne ich rozbieranie i czyszczenie. Drzewa opałowego na dobę zużytkowywano do 50 pudów, co czyni, (biorąc pod uwagę ceny miejscowe, 14 kop. pud.), wydatek na dobę 7 rubli. Robotników trzeba mieć dwie zmiany, po czterech w każdej, licząc po 50 kop. dziennie stanowi to 4 ruble. Wydatek więc na dobę wynosił razem 11 rubli, a zatem wysuszenie jednego puda nasion kosztowało 6,87 kopiejki.

Nie wdając się w szczegółowe opisywanie suszarni Ackermana, jako bardzo rozpowszechnionej i nie przesądzając jej większej lub mniejszej użyteczności do suszenia ziarna, ograniczę się krótką wzmianką o jej budowie i zastosowaniu do suszenia nasion buraczanych.

Suszarnia № 4 urządzona jest na podobieństwo szafy z podwój-

nemi ściankami metalicznemi; długość suszarni wynosi 3 arsz. 12 wersz., szerokość $1^1/_2$ arsz., wysokość 4 arsz. Wewnątrz szafy umieszczony jest piec i wentylator; szafa posiada dwie rury: jedną dla dymu, drugą — do odprowadzania wilgotnego powietrza; dalej ma ona u góry dwa otwory do nasypywania ziarna, termometr i korbę, za pomocą której wprowadza się w ruch wentylator i przyrząd do wyprowadzania ziarna z suszarni.

Suszenie nasion buraczanych prowadziliśmy przy temperaturze 40^0 R. i do ogrzewania używaliśmy węgiel kamienny, gdyż przy użyciu węgla łatwiej utrzymywać jednostajność temperatury, niż przy opalaniu drzewem. Temperatura w suszarni Ackermana bardzo szybko wzrasta i uważne śledzenie termometru staje się niezbędne, aby nasiona nie zostały przesuszone. Produkcyjność suszarni № 4 dochodzi do 500 p. wysuszonego nasienia na dobę. Na każdą zmianę potrzeba mieć 5 robotników po 50 kop., co na dobę wyniesie 5 rubli, węgla zużywano 15 pud., licząc po 30 kop. za pud, opał wyniesie 4 rb. 50 kop., a zatem cały wydatek na dobę wynosi 9 rb. 50 kop., koszt zaś wysuszenia jednego puda nasion buraczanych sprowadza się do 1,9 kop. Zawartość wody doprowadzono przy tem przeciętnie do 13,23%, zdolność kiełkowania spadła jednak z 92% do 84%, t. j. zmniejszyła się o 8%. Takie zmniejszenie zdolności kiełkowania należy przypisać bezpośredniemu zetknięciu się nasion z nagrzaną powierzchnią wewnętrznych ścianek suszarni.

Główną zaletę suszarni Młoszewskiego stanowi to, iż nasiona nie stykają się wcale z nagrzaną powierzchnią a proces wysuszania odbywa się jedynie dzięki działaniu ciepłego powietrza. Konstrukcja tej suszarni jest następująca: Z murowanej kamery, wewnątrz której umieszczono 16 rur kaloryfera, ogrzewanych parą od dziesięciosilnej lokomobili, wentylator wyciąga ogrzane powietrze i wpędza je do drewnianej kamery. Wewnątrz tej kamery obracają się dwa cylindry długie po 6,000 m/m i 800 m/m średnicy w poziomem położeniu; nazewnątrz cylindry obite są metaliczną siatką, wewnątrz zaś rozmieszczono w cylindrach ukośnie blaszane kieszenie. W górnej części kamery znajduje się otwór z przyrządem (lejka z zasówką) do nasypywania nasion do górnego cylindra, w dolnej—otwór do wypuszczania nasion. Kamera posiada termometr i okienka do oczyszczania cylindrów i smarowania Nad kamerą znajduje się wentylator do wyciągania zwilżonego powietrza. Cylindry i wentylator wprowadzane są w ruch za pomocą transmisji siłą tej samej lokomobili, która jednocześnie dostarcza też parę do nagrzewania kaloryferu.

Nasiona, trafiając do cylindra będącego w ruchu, podchwytywane są przez pierwsze kieszenie i podnoszone ku górze, gdzie wysypują się do następnych kieszeni i w ten sposób, podnosząc się ku górze ruchem śrubowym, przesypują się do cylindra niżej umieszczonego, skąd już wydostają się dalej na zewnątrz; przebywszy pod działaniem ciepłego powietrza drogę od 35—40 m. długą, wysychają dostatecznie. Suszenie odbywa się przy temperaturze 40—50 R^0, przy czem zawartość wody spada przeciętnie do 13, 14%, zdolność zaś kiełkowania wcale się nie zmniejsza. Produkcyjność suszarni wynosi—700 pudów na dobę; robotników potrzeba na każdą zmianę 3-ch po 50 kop., maszynista z wynagrodzeniem 1 rb. dziennie, 1 koń do podwożenia wody (60 kop.) i podrostek z płacą 30 kop., a zatem rozchód na robotnika na dobę wyniesie 6 rb. 80 kop. Węgla potrzeba 40 p. za sumę 12 rb. Ogólny więc wydatek na dobę wynosi 18 rb. 80 kop., a wysuszenie jednego puda nasion kosztuje 2,7 kop.

Spostrzeżenia, zrobione przy wyżej opisanych sposobach suszenia nasion buraczanych, przekonywują nas, iż suszenie nasion zapomocą ogrzewania lokalu przy użyciu rur blaszanych, chociaż nadaje się do urządzenia prawie w każdem gospodarstwie, okazuje się jednakże pracą nieprodukcyjną i kosztuje drogo. Suszenie zaś zapomocą suszarni Ackermana kosztuje najtaniej, lecz potrzebuje bacznej pilności dozorcy i ciągłego badania stanu temperatury, przy czem pewien procent nasion traci zdolność kiełkowania, co obniża ich cenę. W suszarni Młoszewskiego wszystkie te ujemne strony są wykluczone. Dla tego więc suszarnie te dla gospodarstw nasiennych stają się niezbędną przynależytością i innemi zastąpić się nie dadzą.

A. GRABOWSKI.

▫ ▫ ▫

Ciągówki i samochody parowe.

II.

Mówiąc o maszynach pociągowych dla uprawy ziemi, należy przedewszystkiem wspomnieć o samochodach parowych. Silnik parowy— to najdawniejsza i najlepiej nam znana, a dzisiaj zawsze jeszcze najpewniejsza w działaniu maszyna. I samochód parowy, jakkolwiek przy współzawodnictwie z ciągówkami, pracującemi ciekłem paliwem, co raz więcej traci zwolenników, to jednak zawsze zdarzać się będą miejscowe warunki, wobec których użycie samochodu parowego więcej będzie wskazanem, niż jakiejkolwiek ciągówki (traktora) z silnikiem wybuchowym. Samochód parowy daje się przedewszystkiem zastosować do każdego rodzaju opału, twardego czy ciekłego — a nawet małowartościowego, jak torf, pnie i gałęzie. Dzięki prostocie urządzenia i działania, każdy wiejski mechanik z łatwością obsłużyć go może, przy wspólnej wszystkim silnikom parowym właściwości, to jest wielkiej elastyczności w rozwijaniu potrzebnej siły, a przeciążenie nawet w dwójnasób maszyna ta, bez przerwy w ruchu, łatwo wytrzymuje bez szkody dla siebie.

W budowie swej znane nam samochody parowe mało wogóle różnią się od siebie. Każdy samochód ma, na mocnym żelaznym wozie, o wysokich i szerokich tylnych kołach i niższych przednich, ustawiony parowozowego typu kocioł parowy i na nim zmontowaną maszynę parową, z przekładnią kół zę-

batych dla napędu tylnych kół wozu, pociągowych, i z kołem rozpędowem, służącem w miarę potrzeby do napędu pasowego.

W wykonaniu różnych fabryk samochody różnią się między sobą pod względem urządzeń dla wyzyskania pary, i w konstrukcji różnych części składowych maszyn. Przy ocenie pracy samochodu, nader ważnym jest wzgląd na ilość potrzebnej do poruszania maszyny pary; od tego bowiem zależy oszczędność opału, a równocześnie i zmniejszenie obsługi przez mniejszą ilość potrzebnej do zasilania kotła wody. Podwojenie zaś wody i paliwa jest jednym z głównych czynnników, wpływających znacznie na ogólny koszt eksploatacji parowych samochodów.

Na przeszłorocznej Wystawie Kijowskiej widzieliśmy samochody amerykańskie i angielskie. Amerykańskie — firmy „Case" i angielskie znanych u nas fabryk „Ruston Proctor" i „John Fowler". Samochody amerykańskie „Case", jak i inne amerykańskie maszyny, wyróżniały się znakomicie obmyślaną konstrukcją na pozór mało ważnych szczegółów, lecz nie pociągały oglądającego wykwintnem wykończeniem; tymczasem angielskie maszyny przy pięknem starannem wykończeniu sprawiały wrażenie maszyn może cięższych, lecz nadzwyczajnie trwałych.

Poprzestajemy na powyższej wzmiance o parowych samochodach, nie wdając się w omawianie i ocenę różnic konstrukcyjnych, gdyż założeniem naszem jest poświęcić więcej miejsca omówieniu ciągówek z silnikami wybuchowemi.

Nadzwyczajnie szybkie rozpowszechnienie się ciągówek, nie tylko w Ameryce, ich ojczyźnie, lecz i w Europie—gdzie ciągówki amerykańskie pierwsze zdobyły miejsce, a i dotąd je zatrzymują—skłoniło dużo fabryk, po obydwu stronach Oceanu, do podjęcia tej gałęzi wytwórczości maszynowej. Konstruktorzy wszystkich krajów prześcigają się w coraz to nowych pomysłach; to też niemal z dniem każdym pisma fachowe przynoszą opisy nowych lub ulepszonych typów ciągówek.

Z konieczności więc wypadnie nam nie ograniczać się omawianiem eksponowanych na Wystawie w Kijowie maszyn — bo niektóre z nich Amerykanie uważają już za zastarzałe—a wspomnieć będziemy musieli również i o innych najnowszych konstrukcjach.

ST. WOLSKI.

□ □ □

Pogląd retrospektywny na rozwój cukrownictwa na Rusi.

II.

System prasowy otrzymywania soku panował powszechnie; mechaniczne urządzenia prasowni doszły w końcu do możliwej doskonałości, a zastosowanie już około 60 roku maceracji systemu Bobryńskiego-Walkhofa dawało nader dodatnie rezultaty. Do oczyszczania soków zapomocą wapna, dodano t. zw. saturację, zastosowując kwas węglany, pompowany z gazów kominowych. Węgiel kostny do cedzenia zawsze dominował. Znaczne jednak ulepszenie wprowadziło wyparowywanie i gotowanie soków i syropów, w aparatach zakrytych, w próżni (względnej), otrzymywanej zapomocą pomp powietrznych (luftpumpe). Zgęszczanie soków dokonywało się w tężniach (dwojakach), gotowanie zaś w warnikach (vacuum), co już stanowiło znaczny postęp, pod względem zaoszczędzenia opału. Gotowano jednak zawsze na nitkę, krystalizacja odbywała się „w spokoju" w specjalnych konwiach. W tych czasach wydzieliły się bowiem fabryki mączki (piasku) od specjalnych rafinerji. Odsiewanie, t. j. oddzielanie cukru od melasu dokonywało się w wirówkach (centryfugach). Pozatem następowało suszenie w lokalach o bardzo wysokiej temperaturze. Takie mniej więcej było urządzenie cukrowni w latach 1850—1860.

Znaczny postęp wprowadziło odkryte, podobno całkiem empirycznie, gotowanie w warnikach na ziarno, wynikiem czego się stało otrzymywanie z warników cukrzycy (połączenia mechanicznego kryształu z melasem). Pozostawało więc tylko odsiewanie w wirówkach i powtórne gotowanie na t. zw. drugi, a pozatem 3-ci i częstokroć 4 produkt.

Do wszystkich tych czynności dostarczały pary kotły o ciśnieniu nie wyżej jak 4-ech atmosfer. Na opał używano wyłącznie drzewa, którego w tych czasach było jeszcze na Rusi pod dostatkiem.

Jakkolwiek bądź urządzenia, tu opisane, nie mogą być porównane z cukrowniami montowanemi na modę dzisiejszą, jednak wymagały one już znacznych nakładów, w związku z akcyzą, wprawdzie nieznaczną, pobieraną już od r. 1848-go.

Doprowadziło to cukrownictwo do znacznego upadku, do czego przyczyniły się również perturbacje, jakie kraj w tych ciężkich czasach przeżywał. W roku 1860—1 egzystowało cukrowni w państwie rosyjskiem 427; w 1865—6 pozostało ich zaledwie 251.

Od roku jednak 1866 cukrownie pod względem technicznym zwolna rozwijać się zaczęły dalej, po przebytym ciężkim ekonomicznym kryzysie.

Wpłynęło na to głównie ujęcie znacznej ilości przedsiębiorstw w ręce towarzystw akcyjnych, posiadających odpowiednie po temu kapitały i wiedzę fachową. Od roku 1864 powstają Towarzystwa Akcyjne Trościanieckie, Kalnickie, Sitkowieckie, Sobolowieckie i wiele innych. Produkcja poszczególnych fabryk wzrasta wielokrotnie.

Najwięcej jednak przyczynił się do tego rozwój techniki cukrowniczej. Epokowy wynalazek Roberta, system dyfuzyjny, pchnął na nowe tory cały ten przemysł

W latach 1869, 1870 i 1871 niektóre cukrownie, jak Olszana hr. Branickich, Talne hr. Szuwałowych, Kalnik i Sitkowce (akcyjne) zaprowadziły u siebie ten system. Za niemi poszły inne; w niektórych jednak system prasowy „ze względów na wyższą wartość" pokarmową wytłoczyn prasowanych, utrzymał się stosunkowo dość długo. Najwięcej konserwatywnemi pod tym względem były cukrownie prywatnych właścicieli, dbające o karm odpowiedni dla licznego inwentarza. Bądź co bądź jednak, od r. 1870 do 1880 system dyfuzyjny zapanował wszechwładnie w cukrowniach całego kraju prawobrzeżnej Ukrainy.

Wprowadzano przytem stopniowo znaczne ulepszenia techniczne: oprócz ulepszania soków zapomocą nawa-

pniania takowych (defekacji), zastosowano t. zw. „saturację“, t. j. nasycanie zdefekowanych płynów kwasem węglowym, początkowo otrzymywanym z gazów kominowych, następnie z pieców do wypalania wapna. Był to już znaczny w tej mierze postęp. Zamiast wypalonego wapna, zaczęto sprowadzać do fabryk kamień wapienny (wapniak), który, wypalany w specjalnych piecach, zaopatrywał cukrownię jednocześnie w niezbędny dla defekacji węglan wapna i gaz saturacyjny, stosunkowo bogaty w kwas węglany. Pozatem stało się niezbędnem odcedzanie szlamu defekacyjno-saturacyjnego przez płótno w przyrządach zwanych w tych czasach „filter-prasami“ (obecne „błotniarki“).

Przeobrażeniu uległy również przyrządy do zgęszczania soków. Aparaty podwójnego działania stojące zamieniono na leżące potrójnego, a nawet poczwórnego działania. Warniki (vacuum) po większej części miedziane, o niewielkiej pojemności, zamieniono na olbrzymie żelazne, spożytkujące parę powrotną.

Wszystko to jednak było poniekąd wynikiem wprowadzenia wydobywania soku za pośrednictwem dyfuzji, co wywołało znaczne powiększenie przerobu i stosowanie odpowiednich po temu przyrządów.

Do tego czasu we wszystkie niemal maszyny i aparaty zaopatrywały nas fabryki zagraniczne, przeważnie czeskie. „Breitfeld-Danek“, „Skoda“ i inne miały u nas na Rusi poniekąd monopol. Dopiero od r. 1870, firma warszawska „Lilpop-Rau“, nabywszy przywilej od „Roberta“, zaczęła wprowadzać przyrządy dyfuzyjne. Początkowo były one do siebie bliźniaczo podobne: ośm dyfuzorów w baterji, o pojemności 480 wiader każdy, z bocznem wyładowywaniem, bez kaloryzatorów.

W zamian ich stosowane też były po dwa podgrzewacze z wężownicami na każdą baterję.

Urządzenie takie trwało zaledwie lat 10. Kardynalny przewrót w tym względzie nastąpił po ekspiracji przywileju i pod wpływem systemu opodatkowania. D. c. n.

TADEUSZ OSIŃSKI.

□ □ □

Gawędy rolnicze.

II.

JAK PRZYGOTOWYWAĆ NAWÓZ ZWIERZĘCY.

W poprzedniej mojej gawędzie przytoczyłem dane otrzymane przezemnie w doświadczeniach, kiedy należy stosować nawóz. W niniejszej zaś podam liczby z doświadczeń, jak działa.

1) Nawóz mocny t. j. przygotowany w sposób rozumny, troskliwy przez myślącego gospodarza; nawóz taki daje bydło intensywnie karmione, np. opasy, lub krowy dojne racjonalnie karmione ze względu na ilość mleka i zawartość w niem tłuszczu, plus umiejętne przechowywanie i pielęgnowanie tego nawozu pod bydłem, albo w dobrze urządzonych oborach (t. z. zagonach).

2) Nawóz średniej siły, od zwierząt roboczych i krów karmionych ekstensywnie, bez planu „ot tak czem można“, plus duży dodatek podściołu i wadliwe przechowywanie nawozu w zagonach, t. j. spalonego i rzucanego kupami, nie udeptanego przez inwentarz, nie przemieszanego dokładnie od różnych zwierząt, składanego na gnojowni źle, czyli po naszemu urządzonej, z pod której gnojowisko swobodnie odpływa na zewnątrz w podwórze, do jakiegoś rowu lub do pobliskiej rzeczułki.

3) Nawóz niskiej siły, od inwentarzy marnie odżywianych suchym karmem, który się wywozi każdego dnia na tak zwaną gnojarkę, rozrzuca cienką warstwą, następnie daje się grubą warstwę jakiejś mierzwy lub słomy, polewając kupę wodą. Rzecz jasna, że taki nawóz nie różni się bardzo od przyoranego ścierniska zaraz po sprzęcie danego zboża, a przyoranie liści buraczanych ma znacznie wyższą siłę, niż taki nawóz czyli właściwiej — mierzwa.

W celu przekonania się, jaką siłę okaże każdy z tych trzech nawozów, przeprowadziłem w majątku Bogorodickim hr. Bobryńskich następujące doświadczenie:

Rok 1902. Nawóz wywieziono na wiosnę na pole ugorowe, rozrzucono i przyorano na każdej dziesięcinie oddzielnie:

Rok 1902:

Dano: 1600 pudów gnoju od krów karmionych intensywnie ze względu na ilość mleka i tłuszczu.

Dano: 1600 pudów gnoju od krów karmionych ekstensywnie jako jałowych.

Dano: 1600 pudów gnoju od kupnej jałowizny, karmionej zgoninami 2 funty melasu i 20 f. wytłoków burakowych — następnie zasiano mięszankę wyki.

Zebrano siana mięszanki pud. z dz.:
Pole I 244 Pole II 211 Pole III 162

Licząc pud siana po 40 kop. według miejscowej ceny wypada, że

I parcela dała	97 rb. 60 k.		
II „ „	84 rb. 40 k.	—	13 rb. 20 k.
III „ „	64 rb. 80 k.	—	32 rb. 80 k.

W następnym 1903 roku zasiano buraki, wynik następujący: w pudach z dziesięciny:

Pole I	1246,	polaryz.	16.60
„ II	1121,	„	16.10
„ III	947,	„	15.70

Licząc pud buraków po miejscowej cenie 12 kop., wypadnie:

I pole	149 rb. 52 kop.
II „	134 rb. 52 kop.
III „	113 rb. 24 kop.

W 1904 roku zasiano znów buraki (stosownie do systemu rotacji buraki po burakach przy dodatku 24 pudów tomasówki).

Urodzaj w pudach z 1 dziesięciny:

I pole	1085
II „	964
III „	726

Różnica przy zamianie na pieniądze wyniesie:

I pole	130 rb. 20 kop.
II „	115 rb. 68 kop.
III „	87 rb. 12 kop.

W zestawieniu powyższych liczb, i zamianie takowych na gotówkę, zysk z dziesięciny rocznie będzie następujący:

	Pole I Gnój mocny	Pole II Gnój średni
1902 rok	97 rb. 60 kop.	84 rb. 40 kop.
1903 rok	149 rb. 52 kop.	134 rb. 52 kop.
1904 rok	130 rb. 20 kop.	115 rb. 68 kop.
Średnio:	125 rb. 77 kop.	111 rb. 57 kop.

	Pole III Gnój słaby
1902 rok	64 rb. 80 kop.
1903 rok	113 rb 24 kop.
1904 rok	87 rb. 12 kop.
Średnio:	68 rb. 39 kop.

To znaczy, że silny gnój dał nam jako taki **14 rb. 20 kop.** zysku, a maszyna, która go produkowała w postaci dobrych mlecznych krów, dała około 30 rb. zysku na dz. (o czem będzie mowa w następnych moich gawędach), a ten sam silny gnój w stosunku do słabego dał **57 rb. 38 kop.**

Komentarze chyba zbyteczne, ale pogawędźmy sobie jeszcze trochę, z tego względu, że same cyfry, choćby

najciekawsze, są nudne — suche. Nie lubiliśmy ich, będąc małemi dziećmi, nie lubimy i dziś, a że wpierw myśleli o nas inni, więc można było bawić się we wstręt do liczb; dziś zaś, gdy ani tatuś, ani mamusia, ani rząd, ani nawet sama Bozia, o nas się troszczyć nie zechcą, jeśli sami o sobie myśleć nie będziemy, trzeba czasami z musu poważniej pomyśleć o jutrze. Naturalnie, nie mówię tego do tych wielkich świata tego, którzy mają dużo włości, bo im jeszcze na parę pokoleń czyli generacji wystarczy, — nie mówię też do tych dużych administratorów, którzy nie mają czasu na czytanie jakichś tam „Rolników Ukraińskich“, ale mówię do tych małych posiadaczy rolnych, którym drogi ojczysty zagon, którym drogi los ich następnych pokoleń, i mówię do wszystkich tych, komu drogi i ojczysty zagon i ojczysta mowa i to wszystko, co swoje, swojskie. Co się psuje, ulatnia, parceluje...

Otrząśnijcie się, ograniczcie w wydatkach nad możność, w życiu nad stan, bo jeżeli tego nie zrobimy, to się sami stuszujemy, zlikwidujemy, i tu na kresach, i wszędzie gdzie dziś jeszcze jesteśmy. Bierzmy przykład z małych grup naszych słowiańskich narodów na Bałkanach, wreszcie z Czechów. Naszem hasłem politycznem powinna być nasza rozumna kulturalna praca wspólnie z naszymi sąsiadami tu na kresach — a inaczej nie dziś, to jutro germanizm nas pochłonie. Odeszliśmy trochę od kwestji, ale nie od celu. Uczmy się wzajemnie, jak pracować na roli, aby ją utrzymać, bo to jedyny fundament, na którym wszystko budować można. Gospodarstwa nasze nie dają dochodu wskutek nieumiejętnej pracy bez obmyślonego planu dla danej gleby i miejscowości; zapominamy bowiem, że rola to tylko warsztat jak każdy inny do produkcyjnej pracy, ale trudniejszy, bo ogromnie skomplikowany, wymagający myślowej, natężonej roboty.

Dla utrzymania go na wysokości koniecznej produkcyjności potrzeba, oprócz innych rzeczy, dobrego nawozu, to jest drożdży gospodarstwa rolnego, radzę więc zwrócić na jego przygotowywanie baczniejszą uwagę.

J. A. MEJER.

▫ ▫ ▫

Ostrożnie z koniczyną!

Niesprzyjające warunki klimatyczne ostatnich lat spowodowały w kraju naszym niemal kompletny nieurodzaj koniczyny nasiennej. To też w dobie obecnej ziemianie tutejsi w większości wypadków zmuszeni są dla obsiania swych pól sprowadzać nasiona koniczyny z bliższych lub dalszych okolic, bowiem uprawa tej ostatniej u nas jest nieodzownie konieczną, jak ze względów czysto ekonomicznych, tak też i ze względów kultury rolnej.

Niestety, jak zaznaczyliśmy wyżej ostatnie lata klęskowe spowodowały kompletny brak nasienia koniczynowego w tak bogatym kraju jak Podole, Ukraina i Wołyń, dla których w latach normalnych produkt ten stanowił źródło dość znacznego dochodu.

Wskazane warunki wytworzyły na miejscowych rynkach dość znaczne zapotrzebowania na koniczynę nasienną, którą sprowadzamy dla obsiania swych pól nie tylko z bliższych okolic (gub. chersońska i besarabska), lecz nawet z Turkiestanu i Królestwa Polskiego.

Niestety, w większości wypadków nasiona te są bardzo wątpliwej dobroci, jak pod względem jakości ziarna, tak też pod względem zanieczyszczenia kanianką—bowiem według danych naszej stacji oceny nasion w roku obecnym na 100 zbadanych prób około 60 zawierały kaniankę.

Nie potrzebujemy tu zaznaczać, jak szkodliwa jest dla koniczyny zawartość nasion tego pasożytu roślinego, lecz dotychczas w kraju naszym stosunkowo w dość rzadkich wypadkach koniczyna była zanieczyszczona tylko kanianką zwykłą (Cuscuta trifoli, Cuscuta europea), która jako posiadająca nasionka mniejsze od nasion koniczyny daje się dość łatwo oddzielić za pomocą specjalnej maszyny do oczyszczania (Kuskuta Röbera). To też o ile partja koniczyny zawiera nasiona zwykłej kanianki, oczyszczenie takowej jest tylko kwestją kosztu (robocizna i zrobienie większej ilości pośladów), a cała partja po oczyszczeniu i po powtórnem zbadaniu przez stację oceny odzyskuje swą wartość użytkową.

Niestety oprócz tej kanianki egzystuje jeszcze kanianka gruboziarnista łubinowa (Cuscuta racemosa), której dotychczas w kraju naszym nie było. Jak sama nazwa wskazuje, kanianka ta posiada znacznie większe nasiona, przeto nie daje się wcale oczyścić na „Kuskucie Röbera“, to też jest o wiele więcej niebezpieczną, niż kanianka zwykła.

W ostatnich czasach w kilku próbach, które zostały zakupione dla Podola, a pochodziły prawdopodobnie z Besarabji, znaleźliśmy kaniankę łubinową, a uważając to za objaw bardzo groźny, śpieszymy o tem zawiadomić szerszy ogół ziemian naszych, bowiem kanianka łubinowa żadnem czyszczeniem usunąć się nie da, a cała walka z tem niebezpieczeństwem powinna polegać jedynie na najściślejszej kontroli nasienia siewnego.

To też, o ile nasiona koniczyny były sprowadzone, to należy bezwarunkowo nadesłać stacji oceny nasion średnią próbę dla zbadania, nawet w tym wypadku, gdy nasiona te już poszły do siewu, bo w razie znalezienia w próbie kanianki łubinowej, rozciągnięcie akcji ratunkowej już w polu jest nieodzowną koniecznością.

Kierownik techniczny sekcji rolnej Podolskiego T-wa Rolniczego

J. ZAPARTOWICZ.

▫ ▫ ▫

Leczenie jaszczuru.

Pisma niemieckie przynoszą wieść o nadzwyczaj ważnym dla rolnictwa wynalazku, a mianowicie: o wykryciu zarazka powodującego jaszczur u bydła, a równocześnie o znalezieniu dobrego lekarstwa na tę, tyle szkód rolnictwu przynoszącą, chorobę.

Według sprawozdań w „Berlińskim Tygodniku Kliniowym“ prof. dr. Stauffacher z Frauenfeld, w Szwajcarji, po długoletnich badaniach wykrył, iż zarazkiem, wywołującym jaszczur, jest jedna z form „protozoonów“; profesor zaś dr. Brieger i chemik dr. Krause z Wrocławia wynaleźli jakoby niezawodne lekarstwo, szybko i pewno działające, niszczące te chorobotwórcze zarazki.

Wspomniani uczeni, szukając środka leczniczego przeciw śpiączce, wynaleźli lekarstwo, nazwane trypanosafrol'em, lecz środek ten, skutkiem silnie rozwalniającego działania, do leczenia śpiączki okazał się nieprzydatnym

i dopiero nowy preparat, nazwany „nowotrypanosafrol'em“ daną chorobę tak w ludzkim, jak i w zwierzęcym organizmie doskonale zwalcza. Podczas badań działania trypanosafrolu okazało się, że działa on zabójczo na protozoony, wobec więc wynalazku dr Stauffachera przedsięwzięto odnośne próby, które uwieńczone zostały znakomitym wynikiem. Według wspomianych sprawozdań, środek ten wypróbowano przy leczeniu 240 krów, z których 80 w Katowicach i 160 w Rupinie na Szlązku. W obydwu wypadkach zadawano do wody do pojenia bydła trzy razy dziennie po 1 gr. danego środka, a pomyślny wynik już po tygodniu się okazywał. W Katowicach po 10 dniach leczenia wszystko bydło wyzdrowiało zupełnie, i mleczność krów już po tygodniu wróciła do normy.

Powyższe doświadczenia wskazują, iż w trypanosafrol'u znaleziono łatwy do zostosowania i szybko działający, bez ubocznego złego oddziaływania, środek na tę tak bardzo zaraźliwą i złośliwą chorobę. Dr Brieger i Krause twierdzą, iż ten sam środek znakomicie leczy krwawe moczenie u zwierząt i jest równocześnie dobrym zapobiegawczym środkiem na niektóre inne, dotąd trudno wyleczalne choroby bydła. Obecnie badają działanie trypanosafrol'u przeciw epidemicznym chorobom świń i przeciwko dżumie u psów.

(W Niemczech posłowie do parlamentu wnieśli podanie do kanclerza państwa, ażeby instytucje rządowe najspieszniej nietylko zbadały działanie nowego środka leczniczego, lecz zajęły się jego wyrabianiem i udostępnieniem dla szerokich kół rolników, hodujących bydło).

S. W.

▫ ▫ ▫

Skarbowy monopol zbożowy.

Petersburski korespondent „Voss. Ztng“ dowiedział się od pewnego polityka, stojącego blizko ministerstwa skarbu, że nowy minister skarbu wypracował plan zastąpienia wódczanego monopolu skarbowego przez takiż monopol zbożowy. Plan ten, z którym się minister nosi już podobno od lat kilku, streścić się da pokrótce, jak następuje:

Państwo całe pokryte zostanie siecią skarbowych elewatorów zbożowych, do których gospodarze rolni dostarczać będą w ciągu jesieni nadmiar zboża, pozostały po zaspokojeniu własnych potrzeb. Ceny na zboże ustanawiane będą corocznie, stosownie do położenia międzynarodowego rynku zbożowego. Eksportem zboża równie jak i wewnętrznym handlem zbożowym zarządzać będzie skarb państwa, który w ten sposób ciągnąć będzie olbrzymie zyski, pozostające dziś w ręku handlarzy zbożowych i eksporterów.

A że państwo, dzięki swej potędze finansowej, znajduje się w szczególnie korzystnych warunkach dla wyzyskania konjunktury, więc i wytwórcy, a zwłaszcza włościanie, ciągnąć będą poważne korzyści z projektowanej reformy. Wszak dziś wszyscy oni niemal zmuszeni są sprzedawać zboże w czasie niewłaściwym i po nizkich cenach, potrzebują bowiem pilnie gotówki.

Nie znając, pisze autor dalej, szczegółów olbrzymiego projektu tego, trudno dziś, oczywiście, wydać o nim sąd właściwy. Rzeczą jest niewątpliwą, że po wprowadzeniu jego w życie, organizacja sprawy zbożowej i urządzenie sieci elewatorów wymagać będą przedewszystkiem olbrzymich środków, które otrzymać nie tak łatwo. Jasną dalej rzeczą jest, że wobec roli, jaką Rosja odgrywa na międzynarodowym rynku zbożowym, wprowadzenie przez nią monopolu zbożowego uważane będzie przez wszystkie państwa zagraniczne jako groźba międzynarodowa.

Trudności, jakie projekt ten nastręczyć może, trudno dziś nawet przewidzieć, i już to jedno pozwala mieć nadzieję, że się p. Bark z urzeczywistnieniem jego zbytnio śpieszyć nie będzie. Ograniczy on się na razie prawdopodobnie do czynności przygotowawczych, jak stopniowe zwiększanie liczby istniejących dziś elewatorów zbożowych i udzielanie kredytu państwowego wszystkim wytwórcom, którzy zboże swoje dostawiać będą do tych elewatorów.

Korespondent nie wątpi, że rosyjska polityka finansowa pójdzie w tym właśnie kierunku, a to tem bardziej, że zbliża ona do upragnionego przez pewne koła wpływowe ideału — unarodowienia handlu wogóle.

▫ ▫ ▫

Budowa elewatorów zbożowych.

W związku z wyżej podanym projektem monopolu zbożowego, nie od rzeczy będzie zanotować kilka danych o tem stadjum, w jakiem obecnie się znajduje kwestja budowy elewatorów.

Ważnem zjawiskiem obecnego życia ekonomicznego w państwie jest zainteresowanie się sfer rządowych i społeczeństwa rosyjskiego planową budową sieci elewatorów zbożowych w celu uregulowania eksportu zboża i wewnętrznego handlu zbożowego. Budowa elewatorów odbywać się będzie w sposób następujący:

Bank Państwa wybuduje sieć wewnętrzną elewatorów objętości 300—400 tys. pud. na dużych stacjach węzłowych; budowę elewatorów w portach pozostawiono inicjatywie prywatnej i min. handlu i przemysłu, na rachunek sum, wyasygnowanych na budowę portów.

Wreszcie budowę małych elewatorów objętości 300 tys. pud. w miejscach wielkiej produkcji zboża pozostawiono wiejskim kooperatywom kredytowym, które otrzymywać mogą pożyczki w państwowych kasach oszczędności za pośrednictwem zarządu do spraw drobnego kredytu.

Najpomyślniej posuwa się budowa dużych wewnętrznych elewatorów.

Obecnie funkcjonuje 9 elewatorów wybudowanych przez Bank Państwa, objętości ogólnej 5.720 tys. pud. w gub. samarskiej, woronezkiej, tambowskiej i ziemi wojska dońskiego.

Z pozostałych 75 projektowanych elewatorów w gub. samarskiej, saratowskiej, ufańskiej, orenburskiej, tambowskiej, penzenskiej, symbirskiej i w kraju turgajskim — 4 elewatory objętości 2 mil. pud. będą wykończone na wiosnę r. b., w jesieni zaś zacznie funkcjonować 25 nowych elewatorów 17,4 mil. pud.

Pozostałe 46 elewatorów na 33.7 mil. pud. zboża wykończone będą w 1915 i 1916 r.

W roku bieżącym opracowany będzie projekt budowy elewatorów w gub. permskiej, kazańskiej i wiackiej, w południowej części ziemi wojska dońskiego i północnym Kaukazie.

Budowa elewatorów na Syberji odłożona została do 1920 r., a to dla małej produkcji zboża, przewagi eksportu mąki nad ziarnem i słabego rozwoju kolei.

Prócz tego wybudowane będą elewatory w Moskwie, Rybińsku, Niższym Nowgrodzie i Saratowie.

Elewatory Banku pośredniczą w sprzedaży zboża, należącego do właścicieli prywatnych.

W przyszłości też zarząd intendentury dokonywać będzie zakupów zboża i kaszy za pośrednictwem elewatorów bez udziału dotychczasowych pośredników handlowych.

Będzie to miało doniosłe znaczenie dla producentów rosyjskich, którzy w Rosji południowej znajdowali się w rękach kilku eksportowych firm żydowskich, między któremi pierwsze miejsce zajmuje Dreyfus, za którym stoi paryski Rotschild.

Agenci Dreyfusa zalewają poprostu wsie i miasteczka, kontraktują zbiory, dają zadatki i robią ceny dowolne, niezależne od cen na rynku wszechświatowym, a nawet w sąsiednich portach.

Rolnicy dotychczas nie mogli przeciwdziałać, gdyż w razie niesprzedania zboża agentom Dreyfusa, są zmuszeni sprzedawać zboże kupcom miejscowym po jeszcze niższych cenach. Sprzedaż zboża za pośrednictwem elewatorów ma więc na celu ochronę rolników przed wyzyskiem spekulantów—pośredników, z drugiej zaś strony wypowiedzenie walki odbiorcom niemieckim, którzy wywołują sztuczną zniżkę cen zboża rosyjskiego na rynku wszechświatowym.

▫ ▫ ▫

Ziemstwa na Rusi

Wprowadzona w 6 gubernjach przez ukaz 27 marca 1911 r. ustawa samorządu ziemskiego uledz ma niebawem pewnym zmianom. Najważniejsze z tych zmian, zaproponowanych Dumie przez ministerstwo spraw wewnętrznych, są następujące:

Przedewszystkiem ministerstwo uważa udział w ziemstwie przedstawicieli większej własności rosyjskiej za niedość przez ustawę zabepieczony. W prawdzie system kurji narodowościowych, zastosowany do samorządu ziemskiego na Rusi przez ukaz 27 marca 1911 r., nadał wszędzie przewagę żywiołowi rosyjskiemu nad polskim, jednocześnie jednak powstała u rządu obawa, że w kurji rosyjskiej własności rolnej, mającej największą liczbę radnych do wyboru, drobna i średnia własność zmajoryzuje własność wielką. Obawę tę wywołała okoliczność, że przy pierwszych wyborach ziemskich w r. 1911 w powiatach: dubieńskim, zwiahelskim, zasławskim i rówieńskim gubernji wołyńskiej, oraz w powiecie czerkawskim gubernji kijowskiej, homelskim gub. mohylowskiej i winnickim gub. podolskiej liczba wyborców z większej własności, biorących udział w wyborach, okazała się niższą od przedstawicieli średniej i drobnej własności.

Wskutek tego ministerstwo proponuje podział kurji wyborczej rosyjskiej na nowe kurje — majątkowe: jedną dla posiadaczy pełnego cenzusu wyborczego (wielka własność), drugą dla pełnomocników średnich i drobnych właścicieli ziemskich, nie licząc włościan we wsiach, którzy stanowią osobną kurję, przyczem stosunek liczby radnych powiatowych z każdej kurji majątkowej odpowiadać ma stosunkowi wzajemnemu wartości nieruchomości, znajdującej się w danym powiecie w rękach większej własności z jednej strony, — a drobnej i średniej — z drugiej strony; liczba radnych z kurji średniej i drobnej własności nie może przytem przewyższać jednej trzeciej ogólnej liczby radnych Rosjan i być mniejszą, niż 3 radnych przy 12 i więcej radnych powiatowych Rosjan, i mniejszą, niż 2 przy mniejszej ich liczbie.

Podobne kurje majątkowe pragnie ministerstwo utworzyć i dla Polaków, jednak tylko w tych powiatach, w których własność średniej i drobnej własności polskiej dosięga wysokości, umożliwiającej wybór przynajmniej jednego radnego. Powiatów takich jest aa całej Rusi i Białej Rusi 15 : 5 w gub. witebskiej, 2 na Wołyniu, 1 w gub. kiijowskiej, 4 w gub. mńskiej i 3 w gub. mohylowskiej.

Zdaniem ministerstwa określony przez projekt udział przedstawicieli wielkiej oraz średniej i drobnej własności w ziemstwie na ogół odpowie faktycznemu ich udziałowi obecnie i tylko zapobiegnie niepożądanym, według ministerstwa, zmianom na przyszłość.

Drugą zmianą, którą projektuje ministerstwo, jest, by cenzus szacunkowy (nieruchomości nie rolne) podnieść z 7.5 tysiąca rubli do 15 tysięcy rubli.

Dalej, na władzę eparchialną ministerstwo proponuje nałożyć obowiązek delegowania do zebrań powiatowych ziemskich po trzech duchownych prawosławnych, a do gubernialnych po czterech, gdyż obecnie duchowieństwo prawosławne posiada tylko prawo udziału w wyborach ziemskich na Rusi na zasadach takich, jak wszyscy inni właściciele ziemscy.

Ponieważ samorząd miejski w Mińsku zbudowany na zasadach niekorzystnych, (jak cały samorząd miejski na Rusi i Litwie), stanowi w systemie samorządowym ziemskim odrębną jednostkę powiatową ziemską, a Rada miejska Mińska, pełniąca jednocześnie funkcje Rady ziemskiej, składa się w przeciwieństwie do wszystkich innych Rad ziemskich na Rusi i Białej Rusi, w znacznej większości z Polaków, zarząd zaś miasta Mińska — z Polaków wyłącznie, przeto ministerstwo proponuje zmienić ordynację wyborczą samorządową Mińska w duchu kuryj narodowościowych. Polacy stanowią 20 prc. ludności Mińska, a wartość posiadanych przez nich nieruchomości — 66 prc. ogółu wartości nieruchomości; ministerstwo, dążąc do wynalezienia cyfry pośredniej, proponuje, aby liczba radnych — Polaków wynosiła dwie piąte ogółu radnych Mińska.

Projekt powyższy ma wybitne więc cechy antipolskie.

▫ ▫ ▫

Z wystawy wołyńskiej w Równem w 1915 r.

Wystawa podzielona została na następujące oddziały i grupy:

I oddział: Rolnictwo z grupami: rolną, łąkową i nasienną. II oddział: Hodowla inwentarza z grupami: bydło rogate, konie, drobny inwentarz, hodowla ptactwa, hodowla ryb i jedwabnictwo. III oddział: Leśnictwo. IV oddział: Ogrodnictwo, warzywnictwo, owocarstwo i kwiaciarstwo. V oddział: Chmielnictwo. VI oddział: Melioracje Rolne z grupami: ulepszenie łąk, odwodnienie pól, kultura i eksploatacja torfowisk, regulacja rzek, budowle wodne, zra-

szanie pól. VII oddział: Doświadczelnictwo z grupami: doświadczenia w rolnictwie, w łąkarstwie i w hodowli inwentarza. IX oddział: Maszyny i narzędzia rolnicze. X oddział: Techniczna przeróbka surowych produktów gospodarstwa rolnego z grupami: przeróbka produktów rolnych, zwierzęcych, leśnych i ogrodniczych. XI oddział: Budownictwo wiejskie i dział drogowy. XII oddział: Gospodarstwo ziemskie. XIII oddział: Naukowo-statystyczny. XIV oddział: Przemysł fabryczny. XV oddział: Drobny przemysł wiejski. XVI oddział: Bogactwa podziemne Wołynia. XVII oddział: Hygiena i XVIII oddział: Sport.

Ważniejszymi członkami Komitetu Wystawy zostali pp.: prezes ks. Janusz Radziwiłł, wiceprezes Ign. Baliński, dyrektor Wystawy inż. R. Stodolski, sekretarz Komitetu L. Bielecki, prezes Komisji ekspertów D. Andro, wiceprezesi: A. Bielajew i W. Gutowski, sekretarz Komisji W. Bugajew.

▫ ▫ ▫

Z ruchu wydawniczego.

Kalendarz Rolniczy na rok 1914. Wydawnictwo C. T. R. pod redakcją J. Lutosławskiego. Skład główny w Centr. Tow. Roln. i w Księgarni Gebethnera i Wolffa. Część I, 16, s. 366 oraz dodatek „Zapis najemnika“. Część II, 8, s. XVIII+176+168+XXXVIII.

Kalendarz ten, rozwijający się z roku na rok, zasobny we wszelkiego rodzaju wyczerpujące wiadomości, ustawicznie potrzebne rolnikowi, bogato zaopatrzony w artykuły treści społecznej, omawiające najpilniejsze sprawy wsi, — ma dwie zalety, dające mu pierwszeństwo na wsi, przy współzawodnictwie z innymi kalendarzami: jest tani i wygodny. Część pierwsza, formatu kieszonkowego, doskonale przystosowana do ciągłego użytku stanowi kalendarz notatnik i encyklopedję. Część drugą tworzy, rozrośnięty w gruby tom, dodatek. To co zawiera, jest pierwszorzędnej wartości; lepszem może być tylko przez dopełnienie ilościowe. Należałoby mianowicie rozszerzyć, bardzo pożyteczne, nowo wprowadzone „Adresy produkcji wsi“, oraz dział p. t. Szkoły rolnicze przez J. Ł. Brak też tu kalendarza, który powinien być jeszcze raz powtórzony w tej części.

Tom II rozpada się na trzy działy: I literacki (wyróżniają się tu aktualnością artykuły: Wład. Grabskiego o nauczaniu powszechnem w gminach, Jana Plebańskiego o tem, co możemy zrobić dla poprawy dróg dojazdowych oraz Bogum. Rogaczewskiego o nowoczesnych domach mieszkalnych dla drobnych kolonistów i robotników rolnych w Niemczech). Dział II „Zestawienia i tablice pomocnicze“, zawiera liczne wskazówki weterynaryjne, karmowe, dla gospodarstw mlecznych i łąkowych, dotyczące nasion i nawozów, podręczne zestawienia rolniczo-gospodarskie, szereg wiadomości formalnych, oraz tabele do obliczania kapitału i umorzania pożyczek.

Dział III stanowią informacje, przepisy prawne (podatki, wojskowość), jarmarki i t. d.

Przewodnik Wsi Polskiej na rok 1914, opracowany przez St. Górskiego i A. Laskowskiego. Warszawa. Skład główny w Księgarni M. Szczepkowskiego.

„Przewodnik Wsi Polskiej“ jest tylko tytułem i niezbyt wiele ma wspólnego z treścią tego wydawnictwa. Niepodobna zorjentować się w paginacji stron, które są co chwila inne, bez widocznych powodów. Część literacko-społeczna, poza artykułami S. Schönfelda, p. t. „Sady dworskie“, oraz Z. Pietkiewicza „Rolnictwo i zrzeszenia rolne“, nie nadaje się wogóle do omawiania. Niewiadomo co tu jest tendencją społeczną, a co płatną reklamą. Przytem język, n. p. takiego art. „Sieci i maszyny do wyrobu siatek“ jest dokumentem XX-go wieku. Nieład cechuje książkę, a całość jej robi wrażenie zewnętrznie strojnego stragana dla ogłoszeń, których ilość, bez wyboru, niby chwasty zboża, zagłusza treść. Zabawnie wygląda napis „przedruk wzbroniony“, umieszczony na „dodatku“ do kalendarza p. t. „Spis obywateli ziemskich Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi“, który to wykaz, jak wiadomo, jest wydawnictwem f. Gebethnera i Wolffa

▫ ▫ ▫

RÓŻNE.

O polskiem włościaństwie. Z powodu obchodzonego niedawno przez sfery urzędowe jubileuszu reformy włościańskiej w Królestwie Polskiem, korespondent warszawski „*Rieczi*“, p. Clemens, zamieścił w tem piśmie artykuł, zawierający ogólny rzut oka na obecne położenie i stanowisko włościan polskich.

„W r. 1860 do włościan należała piąta część prywatnej własności ziemskiej, obecnie należy do nich niemal połowa całego obszaru Królestwa Polskiego (48.9 proc.)

Jeśli dodać do tego drobnych posiadaczy rolnych — nie włościan, to okaże się, że w rękach większych właścicieli pozostało zaledwie około 20 proc. całego obszaru kraju.

Tak wytworzyła się polska demokracja włościańska. Kiedy wyrosła, wzmocniła się i rozwinęła, stała się bardziej uświadomiona zarówno pod względem narodowym, jak i obywatelskim. Niewątpliwie minął już ten okres, kiedy rządowy komisarz do spraw włościańskich zasłaniał przed włościanami polskimi wszelkie widnokręgi.

Zdrowe w swym rdzeniu zasadniczym, tęgie i postępujące wciąż naprzód włościaństwo polskie, oddawna już ciąży ku tym formom życia ogólno-obywatelskiego i narodowego, których reakcyjna w swej istocie biurokracja, raz już sprytnie przeprowadziwszy reformę demokratyczną, nie chce i nie może dawać obywatelom-Polakom.

I w rezultacie mamy obecnie przed sobą włościaństwo polskie, nietylko nie oderwane od narodowych warstw polskich, lecz, jak to ujawniła walka o język w gminie, usposobione w istocie swej narodowo. W rezultacie nawet ta część włościan polskich, która przyjmuje klasowy punkt widzenia, tak zwani zaraniarze i t. p., również w żadnym razie nie mogą być uważani za sterników kursu rządowego...

Znalazła potwierdzenie w Polsce ta odwieczna prawda, że rozwój każdej warstwy społecznej, a w tej liczbie włościan, musi w sposób nieunikniony doprowadzić ją do uświadomienia sobie konieczności posiadania obywatelskiej. politycznej i narodowej wolności“.

Z rynku światowego. Do klęsk klimatycznych, trapiących naszych ziemian w ostatnich czasach, przyłączyła się druga bieda: trudność zrealizowania tegorocznego urodzaju. Trudność ta warunkuje się ogólnoświatowemi konjukturami handlowemi, ale na ceny rynków naszych coraz bardziej zaczynają wpływać dowozy zboża niemieckiego, co stanowi objaw zgoła niespodziewany. I tak: Niemcy wysłały do nas w styczniu r. 1913 żyta 14.481 ton, pszenicy 1,385 t. i owsa 1.488; w styczniu zaś r b. żyta 30,755 ton, pszenicy 5,050 i owsa 4,033. Uderzające zwiększenia przywozu! W dodatku rosyjska pszenica jest stale najtańszą na rynku światowym z powodu lichych gatunków, jakie dostarczają północne prowincje państwa — zwłaszcza Syberja.

NAKŁADEM KIJOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.
Redaktor-Wydawca: Jan Ursyn-Zamarajew. Czcionkami Drukarni Polskiej, Kijów.